



BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pisma peryodycznych po cenie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60; rocznie rub. 7 kop. 20 z 20 tomami rub. 9 kop. 20, w oprawie rub. 12 kop. 20. Na Pradze w księgarni S. Rzymkiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 3 kop. 50, z 20 tomami rub. 13 kop. 20, w oprawie rub. 16 kop. 20. Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Pod kierunkiem literackim
Zofii Seidlerowej.

Ekspedycja Główna ulica Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 8; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 8 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego” w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk., z przesyłką pocztową 4,30.

Rozmyślania w dzień Święta umarłych.



Nieprzeliczone tłumy spieszą dziś na cmentarz. Zda się, jakoby prąd życia wielkiego miasta odwrócił się nagle, zmienił swoje łozysko i całą siłą, płynie ku miejscom wiecznego spoczynku i nieskończonej ciszy. Tony zapasów życiowych, radosnych uniesień, przyeichają, milkną, słyszymy tylko dźwięki ostatniego pożegnania z naszymi drogimi, którzy od nas odeszli, — grudki ziemi upadające na wieko trumny.

Jakże jaskrawo w tych dniach występuje różnica pomiędzy tem, co zostawiamy za sobą, a tem do czego się zwracamy, do czego wyciągamy ręce. Jakby jakieś elektryczne drżenie przeciąga [przez świat. Zapytujemy siebie, czy nie stoimy znów przed dniem wielkiego historycznego przełomu, w którym „Bóg staje się oraczem?” Nie jedna zmiana, nie jeden przewrót przeszły już po nad żyjącymi dziś pokoleniami, atoli żadna może zmiana nie otwierała tak nieprzejrzanie dalekich horyzontów, jak cicha, wciąż jeszcze przytłumiona rewolucya w państwie, które tak bezpośrednio wpływ wywiera na losy nasze.

Czy jest to Psyche wielkiego narodu, która rozwija silne, choć niepewne jeszcze skrzydła? Czy może to Caliban potworny, zrywający łańcuchy w dzikim, szalonym pragnieniu zniszczenia i mordu? Niezawodnie i jedno i drugie, jak się nieodzownie dzieje w chwilach dziejowych przewrotów. Gdy nawet nie umiemy sobie zdać jasno sprawy z tego, co się stanie, co będzie, czujemy instynktownie, że musimy być przygotowani na zniesienie uderzeń jakichś, olbrzymiej moocy konwulsyi. Żyjemy pod uciskiem sprzysiężonych przeciw nam sił — naszą siłą niechaj będzie jedność.

Ileż to przestrogi, nauki, zaczerpnąć możemy z doświadczeń tych, którzy już spoczywają snem wiecznym. Przedewszystkiem właściwą ocenę tego, co nam życie jako „wygrane” i „stracone” przynosi. Z niej zyskalibyśmy pewność jak dostrajając siły nasze do

wysokości czekających nas zadań, odrzucilibyśmy naukę: —wszystko jest próżne,— a mówilibyśmy:—wszystko jest ważne.

Droga nasza wiedzie nas jakoby po moście — od przeszłości, która niema początku, do przyszłości bez końca. Czy nie czujemy ręki naszych zmarłych, jak nas po owym moście dalej wiedzie? Oni, zmarli nasi, budzą w nas poczucie, że jesteśmy ogniwem w nieskończonym łańcuchu, nie zaś oderwanie rzuconemi istotami, przeznaczonemi na zniknięcie. Nasi zmarli ucieleśniają nam przeszłość, naszą przeszłość, tworzą grunt, po którym my stąpamy.

Gdy patrzymy ze stanowiska wielkich grobowców na przeszłość i historję ludzkości, wydają się one zupełnie innemi, niż je przedstawiają księgi nauk historycznych. Znajdziemy zgoła inne miary dla znaczenia życia każdej jednostki. Śmierć dopiero stawia każdego na jego właściwym miejscu, żeby użyć prawdziwie modernistycznego określenia, jest wielkim „przewartościownikiem” wszelkich wartości. To może najgłębsza z myśli, nasuwających się w dzień święta umarłych.

W ostatnich czasach wprowadzono rodzaj arystokracji pośród zmarłymi, arystokracji dziennikarskiej. W pewnych, oznaczonych odstępach czasu, przypominamy światu, że ten i ten sławny człowiek, wtedy i wtedy, przed tylu to laty umarł. Rozgłos, jaki zdobył za życia, ma się jeszcze daleko po za grób przeciągać. W dzień święta umarłych wychodzimy z założenia, że każdy winien być sądzony nie wedle zewnętrznych czynów i powodzeń, lecz według swej człowieczej wartości i to jest to, co w naszych drogich zmarłych czcimy i kochamy, co nas do nich ciągnie, co w tym dniu ogół przy grobach gromadzi.

Rozpowszechnionym dziś bardzo kierunkiem zapatrywania, przez który niejednokrotnie młodzież moralnie szwankuje, jest lekceważenie przeszłości. Niebezpieczny to kierunek albowiem mylnie wystawia nieraz wartość terażniejszości i mąci wzrok, patrzący w przyszłość...

Pośród oszałamiającego wielkomięjskiego hałasu i zgiełku poeci umieją niekiedy rozróżnić skargi i westchnienia, będące wyrazem tęsknoty za cichą ojczyzną. Jak samotnym i opuszczonym wydaje się człowiek, który

nosi w sobie takie pragnienie... Na ziemi znajdzie się miejsce dla wszystkich, którzy się na niej urodzili, potrzeba tylko chcieć je znaleźć i utrzymać.

A jednak... czas płynie, cmentarz staje się dla każdego rodzajem ojczyzny. Przedewszystkiem zaś dla ciebie, którego czy którą nazwałabym agraryjczykiem cmentarza, który nie czekasz tego jednego dnia w roku, aby dopiero w tłumnym zgiełku święta umarłych być strażnikiem i troskliwym, czułym opiekunem grobu, kryjącego szczątki twoich drogich... dla ciebie, który ukochałeś to ciasne pomieszczenie, ten ostatni przytułek — i nauczyłeś się ztąd patrzeć w najdalsze horyzonty... w nieskończoność...

Zofia Seidlerowa.



W Zaduszki.



I.

Cicho i smętnie zszedł na ziemię,
Dzień, co Umarłych ma być świętem —
Owiane dziwnie cichym smętem
Miasto Umarłych błogo drzemie...

Zdała od troski, co swym mętem
Zalewa wiecznie ludzkie plemię —
Od burz, co niepokoją ziemię —
Sposzywa w śnieniu uśmiechniętem...

A na zegarze czynów, zdarzeń,
Działań i myśli, słów i wrażeń
Dziś wspomnień bije wraz godzina —

I oto suną sznury ludzi
Ku tym, co już ich nie nie zbudzi,
— Umarłych dzień swój byt poczyna.

II.

Na ten cmentarny szlak,
 co porósł w krąg zielenią?
 W jesienny, cich dzeń —
 zwracam i ja swe kroki,
 Dokoła smutno tak —
 i spokój tak głęboki,
 I zawisł mrok i cień
 nad owych wód przestrzenia...
 Tutaj znaleźli sen —
 spoczynek ostateczny
 Ci, co się wzbili wzwyż
 i ci, co jak przyziemny
 Pień — wzrosli w padół ten,
 w brud ziemskich żądz nikczemny...
 Dzisiaj śród Cisy Cisz
 owiał ich spokój wieczny.
 U ich grobowych płyt
 zorane troską czoło
 Schylam... a myśli tłum
 uparcie falą płynie
 I stare, jak ten świat
 na ustach tkwi pytanie...
 ...Wplata nas codzien Byt
 w męk i rozterek koło
 A z mrących echem dum,
 gdy wszystko już przeminie.
 Czy chociaż drobny ślad
 po naszych łzach zostanie?

III.

Jedna mogiła szczególniej mnie nęci,
 Dziwnie grób jeden wabi mnie ku sobie —
 Może w nieznanym, obcym dla mnie grobie
 Leży ten, co wciąż w mojej trwa pamięci...
 Umarł tak dawno...
 Myśl mnie każda smęci
 O nim, bo nie wiem — w owych wspomnieniach
 [dobie,
 Czy chociaż kwiaty rosna mu na grobie,
 Lub darń osnuły mroki niepamięci...
 Więc dzisiaj klękam na darni mogilnej,
 Ciężarem owej przyłoczony winy,
 Żal mię porywa straszny, a bezsilny —
 A spoglądając na cichy grobowie,
 Gdzie może śpi ten druch duszy jedyny —
 Pytam ze łzami:
 — Czy jesteś tu, powiedz...

IV.

Burzę tyś w duszy miał — tak przez życie
 Szedłeś, jak idzie wicher po zbożnym łanie,
 Jak idzie burza chmurą po błękitach,
 Depcząc, co w drodze na przeszkodzie stanie,
 Aż cmentarnego szczyt eię wstrzymał wzgó-
 I drogi twoje przekreśliwszy krzyżem [rza
 Uderzył w ciebie, coś był spiżu — spiżem.
 I tak upadłeś i zczezłeś — jak burza.

A tyś szczęśliwy, a tyś taki młody!
 Tam, pod tą z ziemi kochanej kopułą
 Twe serce nigdy już nie będzie czuło
 Czem za życiowe walki i zawody,
 Jako ten żniwiarz, co już zszedł z zagona
 I pracę skończył — teraz odpoczywa,
 Dusza twa biedna w ciszy śni — zmęczona,
 I choć umarła na wieki — a żywa.

Żywa, bo oto ten twój duch szaleńczy
 Tak się rozpętał dziś, drubu mój we mnie —
 Czasem się, jako huragan rozjęczy,
 Że go poskromić staram się daremnie,
 A czasem znowu, niby Rozpacz blada
 Gnie się ku ziemi i łamie mi ręce —
 I serce trwożnie w tej męce upada,
 I serce moje zrywa się w tej męce.

Więc jeśli kiedy w życiowej podróży
 Iskra, co we mnie pali się, to gaśnie —
 Zamrze na zawsze — jeśli duch się znuży
 I zniechęcona — w zniechęceniu zaśnie,
 Chociażby poszedł obłędami szlaki,
 Niechaj twe serce — proch, nie drga żalobą,
 Jako ty niegdyś — jam dziś biedny taki
 Ty jesteś we mnie — a ja jestem tobą!

Rymwid.

ŚMIERĆ.

Nad znękanemi nielitością pielgrzymką płu-
 gów, w grabieżach jesieni poszarpanemi po-
 lami rozelkała się wichura.

Jak z bólem ogromnym — bardzo ogro-
 mnym — z gałęziami starych, w pozłocie mechów
 zrudziałych wierzb się boryka, gnie i całować
 każe niepogojone rany zagonu, to w pyłach
 zdeptanych tarza i sama w tych pyłach wa-
 ruje, tchu i sił zaczerpując, skargami wypeł-
 niających rowy wółszesłych, zwiędłych wi-
 klin dyszy, zmożona, gradem ostatnich, rdza-
 wych liści płacze.

I niesie te grady na świadectwo konań.

Niesie, aby je znowu w pyły kłaść i w py-
 ły ledz, i kryć za strzępami mgieł rozpacz
 bezmierną, głuchą, i od czarniawych, ciężkich
 chmur rozwłóczyć posępne, jak melancholia
 zgniebień, cienie.

Z kąpieli długich, z mudnych godzin, dzień
 dosnuwał właśnie resztki swoich smutnych
 chwil. Taki biedny, od łask odtracony dzień.
 Bo przecie jest gdzieś tam koniec?

A on nie miał żadnego świtu.

Ni smug różanych, ni dyamentowych ros,
 nadziejących tęcz, drgnień z purpury...

Paryja jasnych dni.

Taki nie kłatwą, a wyrokiem okratnych,
 złych przeznaczeń wyklęty dzień.

Wici zagłady słał, cmentarnem Mementem
 wszystkimu, co żyje, był... Paryja...

Drogą — która, jak pasmo czyjejs zgrzebnej
 doli, ciągnęła piaski, te konaniami wichru po-
 żłobione pyły, przez znękanę, cieniem chmur

znękanę pola, przez skargi wiklin i pokrzy-
 kiwania wron — szedł człowiek w złachmanio-
 nej, chłopskiej siermiędze.

Ręce wsunął w rękawy, głowę zwiesił na
 piersi...

Niczego przed sobą nie upatruje, za niczem
 się nie ogląda, a taki, jak to chmurne nie-
 bo — szary.

Rdzawe grudy zajrzały mu, lecąc, w twarz
 i przerażone rozsypują się po łachmanach.

W zmroczonej zmierzchem i mgłami dali
 zamajaczyły wieże kościoła, niżej — garść po-
 krzywionych, niziutkich domków i parę fa-
 brycznych kominów.

Rwą się szmery bojujących wierzb...

Minął, nie zdejmując czapki, tlejącą się,
 drobiuchną iskrę lampki, która się tli przed
 Królową, przed Orędowniczką, w ziołami na-
 stroszonej kapliczce — a kiedy przechodził pod
 stróżującym wpoprzek szlabanem, dozorca od-
 stąpił spieszenie z progu w głąb budki.

Tuż za szlabanem droga zamieniała się
 w wyboistą, wąską uliczkę, pełną kałuż, śwę-
 du i omorusanych, bosych dzieci. Dzieci o de-
 lilatnych, matowych twarzyczkach i wilgo-
 tnych, tęsknych oczach.

Bawią się gromadkami — śliczne w swojej
 biedzie i nędzy.

Jak anielskie szatanki.

Do ucieczki się któreś rzuca — kraj siermię-
 gi otarł się o skędzierzawioną czuprynkę, stę-
 żale grudki błota bryznęły im w wilgotne,
 tęskne oczy.

A rozelkana wichura sukienki targa, to
 okiennicą szarpnie znienacka, to zatrzaśnie
 z łoskotem drzwi jakie, to do nich zapuka
 i otworzy, jak na powitanie tajemniczego go-
 ścia...

Za zmętniałemi szybami połyskują blade
 światelka.

Po zaułkach lęk się czai.

Toczą się czyjeś srebrne łyzy, ktoś westch-
 nał — wędrowiec, zgubiony między porozsta-
 wianymi bezładnie straganami, kieruje się
 wprost ku studni sterczącej w pośrodku ryn-
 ku spruchniałą, skrzypiącą pompą.

Czyjeś się srebrzą łyzy, a Rachel przepysz-
 ne, rude warkocze owinęła wkoło szyi ojca
 i powtarza kapryśnie.

— Nie puszcze, tatk, nie puszcze.

— Bądź dobrą, Rachel... — perswaduje ła-
 godnie.

— Rozsądną, przedewszystkiem, prawda,
 tatk.

Uwalnia go z więzów, przytula się mocno,
 mocno...

— Postaram się jak najprędzej wrócić. Mo-
 że na czwartek zdążę.

Mocno się tuli, ach! jak mocno...

— Tak mi czegoś straszno...

Srebrzą się czyjeś łyzy i gasną po jednym
 blade światelka. Słychać ostre brzęki szkieł,
 chrapliwe zgrzyty zasuw, zabłąkane głosy.

A potem już tylko wichura lka i młody ra-
 bi schyla nad księgami przodków czoło ry-
 śliciela.

Siedzący na ocembrowaniu studni człowiek
 zaczął wodzić zwolna oczyma po zaśmieco-
 nych, oślizłych brukach, po ryglujących skle-
 py sztabach, po oknach oslepłych.

I oto w dusznej izdebce zapłakało najmniej-

sze z małych. Zapłakało żałośnie, tak żałośnie, że ze wszystkich tapczanów podniosły się widma łazarzy.

— Za co, Jehowo?... — jęczy starzec, — chłopię w pięść zaciska wąż dłoń, Rachel rajski sen śni.

Na szmaragdach łąk, skąpanych w białych, wonnych kwiatach, pod błękitami, jak morska toń czystymi.

— Jakiś ty cudny błękitcie! — zaszeptala miłośnie — jakie cudne ziemi kwiaty..

Jakie cudne... cudne...

I jakiś cudny ty, błękitcie!

Lecz tam...

Tam...

Jak ponętna.

Błyskawica, czy piorunny grot?

Ramiona drżą.

I drżą wonne, białe kwiaty.

Czy grot już...

Zbliża się... rośnie...

Co to? Co to?

.....

Ptaki?...

Olbrzymie stado ptaków — czarnych ptaków. Czuję chłód bijących gwałtownie skrzydeł i szum i te tysiące żreń!

Rozstrzępiona kaskada spłynęła na szmaragdy, wichura coraz ciszej łąka.

Ciszej i ciszej...

Węszący pod rusztowaniami opustoszałych straganów, bezdomny, głodny pies, jak osadzony nagle w miejscu, zastygł, skurczył się — grzbiet jeży.

Chwilę gorejące ślepa i dziwne... dziwne gorejące oczy patrzą pytająco.

Krótką chwilę.

Cofa się tyłem wciąż zjeżony — groźny.

A człowiek rozchylił ostrożnie siermięgi, wydobył sękata, drzazgami kołącą, gdzieś z cudzego płota odłamana żerdź, i położywszy ją sobie na kolanach, oparł na nich wy-czekując drapieżne ręce.

Pies zawył — z pod daszka spłowiałej czapki śmieje się chmurom urągłiwie trupia czaszka.

I znowu jest noc.

Ale już i te najcichsze łkania wichury łkać przestały, zwarły się w żalobny całun chmury.

Garść niziutkich, pokrzywionych domków śpi i śpią kościelne wieże.

Nie! dusze czuwają, czeka na wieży krzyż, a w wielką... wielką ciszę, jak ciśnięty brutalnie kamień, wdarł się strzał.

Jeden strzał.

Za nim salwa...

Śladem piekielnym — stukot toporów, łupanego na szczątki drzewa, odporne łamanie się żelaztwa i jakieś komendy złowrogie i wrzawa zamieszana, i ciosy...

Jakieś się rajskie prześniły sny; jakieś szczerobiotliwe ustka: „Mamo!” — wołają.

I ciągle... ciągle grzechoty salw!

Skłębiły się gryzące, sine dymy, płomienie trzeszczą...

W chciwych, władnych płomieniach — obłąkane głowy morderców, obłąkane głowy ofiar.

Po brukach walają się czyjeś przepyszne warkocze...

Młodemu rabi niedopalone świecą głównie.

I znowu jest noc.

Noc deszczem ulewnym szumiąca.

Strugami zagłada do szopy, gdzie się kołącą przepłakane płacze, gdzie pod deskami spleśniałych ścian, na rozmięklej, glinianej podłodze kostnieją półnagie, zmiżdżone ciała.

Półnagie, zmiżdżone — wytryskiem mózgu, zakrzepła w brunatnych plamach krwią — okropne.

Już nie drżą ramiona.

I żadne nie drżą kwiaty — prześnił się rajski sen, falą rozplotły pyszne, rude warkocze.

Kołącą się echami przepłakane płacze, a w białym szpitalu — jęki.

„Niech się was upiorem czepią pomęczone dzieciątka! niech was odgradzą od wszystkiego, coście miłowali — od wszystkiego, co miłujecie...”

„Amen!” — odpowiadają chórem bandażami białymi owinięte dusze i majaczenia tych białych bandażami, na białych posłaniach majających.

„Niech żale dziewcząt naszych każdy uścisk wasz jadem napoją!”

„Amen.”

„Niech nad strzechami waszemi zawisnie na wiek wieków groza pozbawionych strzech!”

„Amen.”

Czy i twoja, Sostro Opuszczonych, czy i twoja dusza gołębia, smutna dusza — „Amen” odpowiada?

Te aksamitne, ratunku u ciebie zebrzące oczy — już nie zebrzą, zaciskające w pięść wąż dłoń chłopię — już pod namiotem, pod niebem gwiazdami sianem. Czemuż jego marmurowej głowy na białych nie złożysz poduszkach.

Chłopiec pod namiotem, aksamitne oczy nie zebrzą...

Czemu go nie złożysz na białych poduszkach? Czemu złorzeczących warg nie nakryjesz, czemu nie każesz zmilknąć duszom?

Czy i twoja „Amen” odpowiada?

Twoja gołębia, smutna dusza...

Czy i ona, Sostro Opuszczonych?

Drogą — która, jak pasmo czyjeś zgrzebnej doli, ciągnęła piaski przez znękaną, w grabieżach jesieni poczerńiałą pola, przez skargi wiklin i pokrzykiwania wron — wracał chłop w złachmanionej, chłopskiej siermiędze.

Na ramieniu trzyma odłamana, gdzieś z cudzego płota zdarta, drzazgami kołącą żerdź. Sączą się z niej koralowe sople.

Na zdeptane pyły, na grady rdzawe...

W zmoczonej ulewą dali mającą rumowiskami zgliczcza i kościelne wieże i czuwa Krzyż.

I złorzeczące czuwają dusze.

Z kądzieli długich, zmudnych godzin dzień wysnuwał pierwszą chwilę.

Taki biedny, od łask odtracony dzień.

Bo przecie jest tam gdzieś słońce?

A jemu nie dano ni smug różowych, ni dyamentowych ros — nadziejnyc tęcz, drgnień i purpury!

Żadnego... żadnego świtu!

Poezya jasnyc dni.

Rena Ornicz.

Warszawa, 1906.



Dom Opieki.

(PIĘKNA, 9).

Że istnieje w Warszawie „Towarzystwo Opieki nad dziećmi,” że filia jego powstała i rozwija się w Łodzi, o tem wie cała Warszawa, kraj niemal cały, dzięki sprawozdaniom, zamieszczanym przez gazety o ruchu i działalności tegoż Towarzystwa, dzięki częstym w prasie wzmiankom o jego zebraniach, postanowieniach i t. p.

Ale „Dom Opieki” mało jest znany, niewiele go kto zwiedza, on sam wreszcie za mało może szuka rozgłosu.

A jednak, jako npostaciowanie celów i zadań Towarzystwa, jako synteza jego dążeń pedagogicznych i społecznych, jako wyraz konkretny nowego pojmowania filantropii, „Dom Opieki” zasługuje na to, aby ogół uspołeczniony i myślący zainteresował się nim, otoczył go współczuciem, przychodził mu z pomocą, przez serce, zarówno jak przez rozum nakazaną.

„Dom Opieki” jest bowiem jedynym dotychczas zakładem urządzonym tak, aby dziecię ułicy, mały, bezdomny włóczęga — znalazło w nim nie tylko chwilowy przytułek, lecz zaspokojenie wszystkich potrzeb ciała i ducha: dach nad głową i strawę — obok pieczyoty i napomnienia, pomoc lekarską — obok tego uzdrowiska dusznego, jakim staje się dla dziecka otaczająca go tam atmosfera ciepła serdecznego i zdrowej wesołości.

Dziecko przyprawione z ulicy, wylekłe, nieufne (a czazem hardo się stawiające i niechętnie dla „Domu” usposobione), głodne, brudne, odarte, zbiedzone — jednym słowem: sierota i włóczęga, na którym oddawna już wzrok niczyj nie spoczął życzliwie — dostaje się najpierwej do ubikacji, noszącej nazwę „Przytulku noclegowego.”

Tutaj otrzymuje pierwszy posiłek i staje się celem zabiegów, dążących do nadania mu wyglądu kulturalnego. Zabiegi te pełni z gorliwością i poświęceniem iście macierzyńskim przezacna opiekunka Przytulku, p. Godzimirska. Kąpie, myje strzyże, oczyszcza, obleka biedactwo w czystą bieliznę, podaje go oględzinom lekarza zakładowego, której to funkcji podjąć się raczył bezinteresownie d-r Bociński, i samarytańską swoją krzątaniną rzęca w duszę małego paryasa zaród pojęcia o wszechbraterstwie ludzkim...

Czy cudny ten posiew zakiełkuje, czy wyda w przyszłości plon zdrowy? Bóg raczy wiedzieć... Może tak... a może i nie? Zanim o tem przekona nas przyszłość, dzieciak nakarmiony i wykąpany, smacznie zasypia pod okiem, opiekunki w czystej pościeli, w pokoju, którego kaflowe ściany aż lśnią od białości

Jeżeli mały przybysz okaże się chorym, zamiast w Przytułku, nocuje w „Spitaliku“

Dwa jasne, wesołe pokoje, z balkonem, wychodzącym na ogródek, korytarzem oddzielone od innych pokojów mieszkalnych, słońca i powietrza ile dusza zapagnie, czystość zasłane łóżeczka, kilkoro dzieci, chorowitych raczej, niż chorych, bawiących się weale wesoło pod opiekuńczymi skrzydłami „szpitalikowej pani“ (którą przedstawia obecnie panna Flachs), tak wyglądają szpitalik.

Stamtąd przez korytarz ambulatoryum, z niezbędnymi przyrządami do ważenia i mierzenia dzieci, do opatrunków, oględzin, badań lekarskich, zabiegów i rękoczynów uzdrawiających. Król i władca—d-r Bociański, pierwszy minister—p. Flachs, poddani—nie zawsze ulegający rozporządzeniom bez protestu, ale za to zawsze małoletni.

Jeżeli zaś dziecko jest zdrowe, to wyspawszy się w Przytułku, czasem wypocząwszy w nim jeszcze dzień następny, zostaje przeznaczony do działu wychowawczego, do którego się wiekiem i uzdolnieniem swoim kwalifikuje.

Działów zaś jest cztery:

1) Ochronka A dla dzieci najmniejszych — (kierowniczka p. Kurowska).

Wesoły, narożny pokój o dwu oknach, przybrany wycinankami roboty dzieci, obrazkami, zaopatrzony w stoły i ławki, odpowiednie do wzrostu milusińskich, którzy się tu rozpościerają swobodnie. Nie uczą się, lecz bawią, śpiewają, czasem usłyszą słów parę pogadanki, dla ich pojęcia dostępnej, czasem piosenkę nową, a zawsze, zawsze słówko serdeczne. I zawsze, sprawy sobie z tego nie zdając, czują nad sobą troskliwość opiekuńczą, szczerą troskę społeczeństwa o ich zdrowie tak fizyczne, jak i moralne.

2) Ochronka B, dla dzieci nieco już starszych, lecz nie pobierających jeszcze nauki systematycznej (kierowniczka p. Kowalska).

Kwiaty w oknach, w kąciaku umywalnia, czystością aż pachnie, w szafce przybory do robót, materiały do pogadanek, na ścianach plan zajęć, obrazki, ryciny, a po nad niemi Krzyż, który tutaj, jak zresztą i we wszystkich pokojach „Domu Opieki“, błogosławi małej gromadce.

Błogosław, o błogosław, Ukrzyżowany! Pod pieczę ramion Twego Krzyża „niech rosną potomkowie na dziedziców prawych...“

3) Szkołka C, nauczanie elementarne (kierowniczka p. Bronowska).

Inne już ławki, pulpity zamiast stoliczek, obrazy na ścianach treści podnioslejszej, ale wszędzie ten sam wiew pogody i wesela, które nie wyklucza ładu i karności, niezbędnej w iem zbiorowisku dzieci. Po większej bowiem części dzieci Domu Opieki, tak stali pensjonariusze, jak i przychodnie, są to dzieci wzrastające w środowisku nędzy i towarzyszącego mu tak często zepsucia, pozbawione wszelkiego dozoru wychowawczego, dzieci, dla których z natchnienia serca czerpaćby trzeba nowe metody pedagogiczne, stosować do nich jakąś osobliwą psychotechnikę.

A cóż dopiero powiedzieć o dziale D, o szkole, której kierowniczką jest p. Kwiek! Tej praca jest nie synekurą!

Dzieci, mające już do lat 12-tu lub wyżej,

wszelkiego złego świadome, z najgorszymi przykładami otrzaskanane, dzieci, których dzieciństwo ani jest anielstwem, ani było kiedykolwiek sielanką...

Czem będą? Przewidzieć niepodobna... Ale robi się co można, aby i oni także wzięli przypadające sobie dziedzictwo Dostojeńskości ludzkiej, aby z wielkiej skarbnicy myśli i uczuć polskich, najcenniejsze wybierać dla nich klejnoty.

I praca zdaje się nie być bezowocną. Kochają swoją „panią“ i słuchają jej, a przynajmniej rozumieją, że słuchać powinny.

A skoro tak, to już Dom Opieki spełnił najważniejszą część zbawczego zadania swego.

Nie jest on bowiem ani ochroną, ani uczelnią. Jest pierwszym etapem na drodze uczyńnienia z dziecka ulicy—Człowieka, w pełnym i zupełnym tego słowa znaczeniu. Umoralnia, uspołecznia; unaradawia, uobyczaja, przyucza do pracy, do współżycia, do używania praw i spełniania obowiązków swoich.

Gdyby Towarzystwo posiadało fundusze, którymi dotąd jeszcze pochłubić się nie może, przez Dom Opieki przepływałaby jedna za drugą świeże fale dzieci, z najmłodszej przybiegających daleko ku tej spokojnej przystani. Dzieci zaś, kilkumiesięcznym w Domu Opieki pobytem obłuskane z narosłej na nich skorupy zdziczenia, przechodziłyby do internatów, pod odpowiedni kierunek wychowawczy i kształciłyby się w nim bądź to umyślowo, bądź to w obranem przez siebie rzemiośle.

Są to marzenia, które, da Bóg, urzeczywistnią się kiedyś, a tymczasem; dzieci Domu Opieki uczą się slōjdu, gimnastykują się, maszerują, śpiewają, dają swobodnie folę wesołości, właściwej ich wiekowi. Dopomagają także w utrzymaniu czystości, w zajęciach gospodarskich, skrobią kartofle, myją ściany, czyszczą kłamki i t. p. oddają się zajęciom.

A każdy mi przyzna, że jeżeli osoba, dozorująca przy tej czynności, wychowawczynią jest z powołania—„mistrzynią dusz“, nie majstrem od uczenia, lub najemnicą do pilnowania—to na chwilowem oderwaniu się od nauki nie dzieci nie tracą, a wiele, bardzo wiele zyskać mogą.

Sypialnie: dwie dla małych chłopców, dwie dla starszych, jedna dla dziewczynek, powierzone są trzem paniom dozorczyńcom. Te czuwają nad rozbieraniem się i ubieraniem dzieci, nad sianiem łóżek, utrzymują porządek w sypialniach, do czego, ma się rozumieć, pomagają dzieci.

Kierowniczką całego działu wychowawczego, czuwającą nad porządkiem zajęć szkolnych jest p. Neuman. Zarząd zaś ogólny Domu Opieki powierzony został p. Mazurkiewiczowej, która także przy pomocy nielicznego sztabu sług prowadzi gospodarstwo, t. j. pamięta o nakarmieniu blisko 150 ciu osób.

Dzieci stałych jest w obecnej chwili 74-ro, przychodnich do 60-ciu. Te ostatnie dostają tylko obiad, mali zaś pensjonariusze utrzymują cztery razy na dzień posiłek, ściśle do wymagań higieny dziecięcej zastosowany.

Miły i rozrzucający widok przedstawia jadalnia, gdy stoły, których wysokość zastosowaną jest do wzrostu dzieci, obsiedzie głodna, a wesoła gromadka. Dzwonią łyżki, znika zawartość miseczek, krzyżują się półśłów-

ka, uśmieszki, często gęsto podnoszą się czyjeś palce, na znak, że ich właściciel „prosi o jeszcze“, uwijają się panie ochroniarki, krząta się i rozporządza (niektórzy mówią: „rządzi, jak szara gęś“) p. Mazurkiewiczowa.

Atmosfera domowego ogniska, wdzięk niewysłowiony stołu rodzinnego, chwytają patrzących za serce i wprost im do serca przenika. Najwłaściwsza też to godzina do zwiedzania Domu Opieki, choćby i dlatego, że Ojcu, który jest w Niebie, podziękowawszy za posiłek, rozsypują się dzieci po ogródku, po ogromnej sali rekreacyjnej i używają zabawy, zanim znowu rozdzielią się po salach.

Takim jest w szkicowym zarysie Dom Opieki, którego niżej podpisana ma szczęście i zaszczyt być przewodniczącą. Kto chce przyrzec mu się bliżej, przypatrzeć się oddaniu, z jakim pracuje tam całe grono kobiet, zespolonych myślą służby społecznej, ten niech pamiętać raczy, że Dom Opieki otwarty jest dla zwiedzających na Wtorki i Piątki od 11-ej do 3-ej.

Na zakończenie szczegółów anegdotycznej nieco natury, lecz lepiej nad wszystko charakteryzujący tak użyteczność Domu Opieki, jak i stosunek łączący działkę z jej Opiekunkami,

Jest w Domu Opieki 8-io letni mały winowajca, oddany „na poprawę“. Nikt sobie podobno rady z nim dać nie mógł: nieusłuchany, swawolny, taki, owaki—przestępca, jednym słowem!

W Domu Opieki okazał się jednak, jeżeli nie wzorem cnót wszelakich, to przynajmniej dość znośnym. Pieszczotliwy, przymilający się, pozyskał sobie „panie“ i sam nawzajem darzyć je począł względami.

Parę dni temu, jedna z nich, z natury swych zajęć mniej mająca z dziećmi zetknięcia, przechodząc przez pokój, uczyła, że ktoś ją w pół bierze.

— Kto to mnie bierze w pół? — zapytuje nie odwracając głowy.

— Ktoś, co bardzo panią kocha—odpowiada oddany „na poprawę“.

Nie wiem, jak kto, ale ja sędzę, że cel pobytu malca więcej niż w połowie osiągnięty...

T. Prażmowska.



25-lecie Schronienia dla Nauczycielek.



Ćwierć wieku ubiegło od chwili, gdy kraj nasz, w którym jest tak nieprzebrany zastęp nauczycielek — przeważnie, z „konieczności“, rzadziej z powołania, — zdobył się na pierwszy i jedyny dotychczas przytułek dla starych, skolatanych tem rzemiosłem lub tem posłanictwem pracownic.

Przed ćwierć wiekiem prawie wyłącznie, a i dziś jeszcze, aż nazbyt często, o powołaniu nauczycielskiem stanowi brak wszelkich kwalifikacji do innej roboty — a i do nauczania także.

Rodzice stracili majątek ziemski, ojciec utracił posadę, będącą jedynym źródłem jego utrzymania, albo na takiej posadzie umarł, nie

zdoławszy zabezpieczyć bytu rodzinie. Pozostały córki z wykształceniem „ogólnem,” t. j. żadnem. Co tu robić?

Przed laty 25-ciu, t. j. w epoce, gdy powstało Schronienie dla nauczycielek, na to pytanie, „inteligentne” rozbitki życiowe znajdowały jedną tylko odpowiedź i jedną tylko widziały przed sobą drogę otwartą — nauczycielstwo. Biura przemysłowe i handlowe, redakcyje czasopism były szczelnie zamknięte dla kobiet, więc latorośle podupadłych rodzin, nie posiadające patentów, któreby im pozwalały na udzielanie lekcji na pensjach, rozpierzchały się po dworach i dworkach wiejskich, ucząc nieraz tego, czego nie umiały same. Pracowitsze „douceły się” po nocach; mniej uczciwe, mniej pogodzone z przewrotem losu, trapiły się jego zmiennością, i jedyną pociechę widziały w nadziei — tymczasowości. Upragniony mąż zjawiał się lub nie zjawiał: zwykle *nie* zjawiał. Nauczycielki „z musu” błąkały się od jednego cudzego domu do drugiego, wszędzie obce, wszędzie niezadowolone, bo i z nich rodzice uczennic zadowoleni być nie mogli. Wśród tułaczki, a nieraz i poniewierki, krokami szybkimi, choć mierzonemi długim osamotnieniem smutkiem, zbliżały się ku starości. Zastawała je ona tak samo nieprzygotowanemi do wypoczynku, jak u progu życia były nieprzygotowane do pracy.

Więc co? Nędza, żebranina, lub coraz większe obniżanie skali wymagań. I tak, aż do grobu... wspólnego nędzarzy.

Bywały, naturalnie, i przed laty dwudziestu pięciu i dawniej, nauczycielki nie z „musu,” lecz z potrzeby serca, jak panna Tańska, jak pani Kraków, jak Gabryela Żmichowska, i inne, które kształciły nasze matki; ale, niestety, większość olbrzymia składała się z dyletantek, zaskoczonych zniemacką potrzebą pracy.

Na nauczycielki specjalnie kształciło się bardzo nie wiele kobiet przed ćwierć wiekiem. Więc niedola tych, które w owym czasie dosięgły już starości bezdomnej, była stokroć gorsza, niż dzisiaj, gdy młoda dziewczyna patrzy na pracę nie jak na smutną konieczność, lecz jak na pożądaną możność rozwinięcia i spożytkowania swych zdolności, jak na obowiązek wobec siebie samej i swego społeczeństwa, a w przyszłość patrzy z przeświadczeniem, że ją sobie zapewni, zdobędzie.

Wiele z nas, należących do pokolenia, które przed ćwierć wiekiem pobierało nauki, — o ile pobierało je na wsi — we wspomnieniu swem znajdzie nauczycielkę - dyletantkę, która nie przyczyniła się w najmniejszej mierze do umysłowego rozwoju uczennicy, a zaznaczyła się w jej pamięci albo zgorzkniałym smutkiem, albo nadmierną żądzą zabawy, nauczycielkę, która — odczuwałyśmy to instynktem dziecięcym — nie znajdowała żadnej przyjemności w naszym towarzystwie i „odrabiała” tylko lekcye,

Dziś ten typ, na szczęście, już zanika. Nauczycielstwo nie jest już dla nauczycielek przykrą niespodzianką, zgotowaną im przez zmienność losu. Te dzielne kobiety, które kształcą nasze dzieci, nie nudzą się w ich towarzystwie, nie zamykają im ust potworną odpowiedzią, że „ciekawość pierwszy

stopień do piekła;” ich ciekawość dziecięca nie nuży i nie trwoży, bo ją umieją zadowolnić. Nauczycielki nie są już dziś rozproszoną luźnie gromadą, zdaną na łaskę i niełaskę losu, należą do stowarzyszeń, myślą i radzą o poprawie bytu swych koleżanek w zawodzie, a tem samem i swego, tworzą instytucye samopomocy. Nie chcą i nie potrzebują filantropii.

Ale przed ćwierć wiekiem było inaczej, Kobieta nie miała takiego uświadomienia swoich obowiązków, jak dzisiaj, a więc i takiej siły moralnej: potrzebowała oparcia, pomocy. Nie potrafiła radzić o sobie sama.

W tej dobie, wyjątkowo dzielna i zasłużona bojowniczką życiową i światła nauczycielka, s. p. Agnieszka Helwichówna, powzięła myśl uchronienia swych towarzyszek od głodnej, bezdomnej starości. To, że inicjatorką nie miała środków materialnych do urzeczywistnienia swej myśli, nie powstrzymało jej od pracy nad ziszczeniem pięknego projektu. Była rodem z Płockiego, a w Warszawie szeroko już działalność obywatelską rozpoczął jej współpowietnik, ks. Zygmunt Chełmicki. Udała się więc do niego i jemu wyłuszczyła swe zamiary, składając jednocześnie 250 rubli — cały swój majątek, zebrany w ciągu 40-letniej tułaczki. Ks. Chełmicki nie zniechęcił jej. Bynajmniej. Człowiek to bystrogo umysłu, gorącego serca i szybkiego czynu. Zakrzętnął się wśród swoich znajomych i po kilku tygodniach zwołał sesyą, na którą przybyli: Agnieszka Helwich, Emilia Blochowa, Gabryela i Marya Wrotnowskie, Teresa Brzezińska, Aleksandra Borkowska, Ludwik Wolski, no, i naturalnie, sam inicjator posiadzenia. Uchwalono na niem założyć schronienie dla nauczycielek.

Na poczekaniu zebrano fundusz żelazny oprócz 250-ciu rb. s. p. Helwichówny, 1000 rb. ofiarowane przez p. Emilię Blochową, 150 rubli, dar p. Róży Janaszowej.

Można było od razu przystąpić do wynajęcia paru pokoików przy ulicy Żórawiej. Postawiono tam 4 łóżka dla pierwszych pensjonarek zakładu: żyjących do dziś dnia pań; Jadwigi Jahołkowskiej, Józefy Tarczewskiej i Julii Królikowskiej, oraz s. p. Agnieszki Helwichówny, która została przełożoną Schronienia.

Już w roku następnym rozlokowano się w obszerniejszem mieszkaniu, gdzie mogło się pomieścić 12 pensjonarek. Po trzech latach, pensjonarki stałe — weteranki, przeniosły się do Królikarni, zaś w Warszawie, przy ulicy Marszałkowskiej, założono biuro wynajdowania pracy; kierunek nad niem objęła p. Dębska. Sędziwa przełożona, Helwichówna, sterana wiekiem, osiadła w Królikarni. Stanowisko jej objęła (w roku 1893-im) zasłużona na polu pedagogiki i literatury s. p. Józefa Kamocka.

Pobyt w Królikarni okazał się niewygodnym; przeniesiono się ze Schronieniem i biurem na ulicę Zielną. Tu, po śmierci s. p. Kamockiej (1897), stanęła na czele zakładu p. Zofia Piaskowska i do dziś nim kieruje. W roku 1900-ym, nabyto za 76,000 rubli 14 morgów gruntu przy stacji Zielonka, kolei Petersburskiej, i, według planów Stefana Szyllera poczęto budować dom dla pensjonarek

stałych, Schronisko właściwe, które w roku 1902-gim zostało ukończone. Ofiarność p. Blochowej pozwoliła urządzić go na 44 osób. Tyle też odtąd przebywa w niem stale.

Mało to, bardzo mało, w porównaniu z licznym zastępem kobiet, steranych pracą nauczycielską; ale fundusze nie pozwalają na utrzymywanie większej liczby. Koszty wynoszą po 70 kop. dziennie, od osoby, czyli 255 rb. 50 kop. rocznie. Od roku 1880-go do 1906-go przebywało w Schronieniu pensjonarek stałych 803, spędziły ogółem 262,743 dni.

Oprócz tego, głównego celu instytucji: zapewnienia nauczycielkom starości spokojnej, daje ona przytułek czasowy poszukującym pracy. W ciągu lat 25-ciu przesunęło się przez jej progi 3,527 pensjonarek przyjezdnych, które spędziły ogółem 65,120 dni. Opłata, w tym czasie, po 50 kop. dziennie, wyniosła 2,998,297 rubli.

Owe 1,400 rubli, będące kamieniem węgielnym Schronienia, w ciągu lat 25-ciu, dzięki jednorazowym ofiarom założycieli i założycielek (po 3,000 rubli lub wypłaty przez lat 10 po 150 rubli rocznie), dzięki składkom członków rzeczywistych (10 rb. rocznie), członków ofiarodawców (po 5 rb. rocznie), oraz dzięki ofiarom przygodnym, wzrosły do sumy 117,276 rb. (w tem wartość Zielonki, wynosząca 76,750 rubli), stanowiących majątek Schronienia.

Instytucya ma charakter filantropijny — zarzucają jej dziś nauczycielki; — powinny to zarzucać sobie. Czemuż nie próbują oparcia zakładu na innych podstawach? W czasach dzisiejszych a nawet wczorajszych, przy kwalifikacyach pedagogicznych, jakie kobiety zdobyły, przy wysokości wynagrodzeń zdolnych nauczycielek i wielkim na nie popycie, chleb nauczycielski nie jest już tak suchym, jak dawniej. Czemuż okrasy jego — swych oszczędności — nie lokują w Schronieniu; czemu nie starają się wejść liczniej do zarządu, wpływać na kierunek instytucji, czemu nie nadają jej charakteru samopomocy?

To, że, oprócz inicjatorki Schronienia, nauczycielki z zawodu, utworzeniem go i dalszemi losami zajęli się działacze społeczni i filantropi, to samo jest pięknym świadectwem dla nich, smutnem dla nauczycielek.

Jeżeli dowodzi materialnej niemocy, w takim razie utyskiwania na dobroczynny charakter są nie na miejscu; jeżeli zaś świadczy o niemocy duchowej, o braku zdolności organizacyjnych, to zarzuty tem mniej są słuszne.

P. Włodkówna w „Kuryerze Warszawskim” powiada, że „nauczycielki młode winny utworzyć coś w rodzaju kasy emerytalnej, której fundusze utrzymywałyby Schronienie dla nich, gdy młodemi być przestaną.” Czemu nie uczyniły tego nauczycielki, młode, przed laty 25-ciu, czemuż nie robią tego dzisiaj?

P. Włodkówna domaga się nadto zreformowania biura pośrednictwa pracy, istniejącego przy Schronieniu; wskazuje, że co rok setki nauczycielek zmieniają posady, a przy biurze na Chmielnej — jest pensjonat na 15 osób zaledwie; dowodzi, że skutkiem ciasnoty pomieszczenia i niedostatecznej liczby personelu, wiele tranzakcyi zawieranych jest w innych biurach; przypomina, że tych biur prywat-

nych jest w Warszawie 30 i że mają ogółem blisko 50,000 rubli dochodu na czysto.

„50,000 rubli pieniędzy nauczycielskich — woła p. W.—idzie do kieszeni osób prywatnych, a stare nauczycielki dożywają ostatnich lat z jałmużny ludzkiej.“

Słusznie. Bardzo słusznie. Niech temu młode nauczycielki zaradzą, niech wnoszą składki i oszczędzone fundusze, niech wejdą do Zarządu Schronienia, zasilają go swemi radami.

Zarząd dotychczasowy pragnie również odjąć filantropijny charakter instytucji. W cyrkularzu, rozesłanym do pism, oznajmia o swoim projekcie „utworzenia w Warszawie dla nauczycielek czynnych, pensjonatu, w którym, za cenę umiarkowaną mogłyby korzystać z mieszkania, stołu i t. p. Pensjonat ten niema czerpać swych dochodów z ofiar dobroczynnych, ani ze składek członków, przeznaczonych wyłącznie na rzecz Schronienia, lecz powinien się utrzymywać samodzielnie z opłat, składanych przez osoby z niego korzystające.“

„Cała trudność—czytamy dalej w tym cyrkularzu — leży w uzyskaniu na początek pewnego kapitału zakładowego dla wynajęcia odpowiedniego lokalu, nabycia mebli, łóżek, pościeli i t. d.“

A więc pole działania otwarte dla nauczycielek młodych. Niech drobnymi bodaj a licznymi kwotami przyczynią się do utworzenia takiego pensjonatu, do zreformowania biura.

Przyjdzie im to tem łatwiej, że i sam Zarząd Schronienia pragnie tych reform, młode siły powołując do rady.

Szczęść Boże!

Eugenia Zmijewska.



DARWID.

ZAPÓŹNO.



(Dokończenie).

V.

I rozstrzygnęło się. Gdzie, kiedy, w jaki sposób, to tajemnica serc oddanych sobie. Szczęście, które się stało ich udziałem, może być dostępnem tylko dla ludzi niezwykłych, nie szukających brudnych mętów życia zmysłowego, lecz tego cudownego nektaru, który krzepi duszę na drodze cierniowej.

Jan wyczerpany walką, pewnego poranku nie miał siły wstać z łóżka. Wezwany starszy kolega zalecił wypoczynek, a następnie wyjazd na zimę do ciepłego klimatu.

Pacyenci odchodzili ode drzwi, zasmuceni chorobą kochanego doktora. Po kilku dniach zjawiali się coraz rzadziej, w końcu przestali dzwonić i wzywać listownie. Wieść o jego chorobie rozeszła się po mieście, wspomnianano o niej w pismach miejscowych. Irena pobiegła zaniepokojona, sprawdzić smutną wiadomość na miejscu. Teraz noce bezsenne były jeszcze smutniejsze, łzy bardziej gorzkie, odgadła przyczynę choroby Jana.

Minęło kilka tygodni. Jan smutny, pobladły przygotowywał się do podróży. Nie zęgnął nikogo, musiał jednak przed wyjazdem zobaczyć Irenę.

Gdy stanął w progu tego jasnego mieszkania, gdzie przez lat tyle widział szczęście rodzinne, gdzie dziś swoje szczęście i serce zostawił, gdy spojrzął w wybladłe od łez oczy pięknej kobiety, przyszyły mu na myśl jej słowa:

— Czy wiesz, co to jest szczęście? co to jest miłość?

On już wiedział co jest, co byłoby szczęściem...

Ujęli się, jak dzieci, za ręce i powiedli do kanapki, stojącej pomiędzy oknami. Łzy tłumione nie pozwoliły im mówić.

— Jadę do Włoch — zaczął Jan. — Mówią, że wrócę zdrowy, ale się mylą. Ja wiem, że mi nie pomoże. Nie płacz, kocham cię i dla ciebie pragnę żyć, ale nie mogę żyć, więc dla ciebie umrę. Tylko bądź mi wierną i nie kuś się zdobywać [serca... Ja za cześć twoją płacę życiem własnym. Nie stłumiłem miłości dla ciebie, ale stłumiłem pragnienie zdobycia jej. Walka była nad siły — ale oboje wyszliśmy z niej zwyciężko.

I tulił jej głowę do piersi, jak brat, jak ojciec, a z oczu obojga płynęły gorzkie, lecz czyste łzy. Kochali się naprawdę.

Nazajutrz Jan wyjechał do Włoch.

Pan Zenon przeczytawszy przy rannej kawie wiadomość o wyjeździe Jana, rzekł do żony:

— No, teraz nie chorujecie, bo wasz doktor wyjechał. A wiesz, Irenko, jakie chodzą o nim wieści?

— Cóż takiego? — zapytała.

— Mówią, że się zakochał w jakiejś męzatece, która mu nie chciała być wzajemną i to jest przyczyna choroby.

Irena zbladła, łzy nabiegły jej do oczu.

— Przyznam się — mówił dalej mąż, — że dla takiego człowieka mogła zrobić ustępstwo nawet i męzotka. I on głupi, prawda Irenko, że głupi?..

Irena, tłumiąc łzy, szybko wstała od stołu.

Więc to, że honor ocalał kosztem szczęścia, może i życia, nazywa się głupotą?

VI.

Jeszcze nie koniec?... Tak, jeszcze nie koniec.

Cicho szemrzą ciemno-błękitne fale jeziora Lugano, po ich powierzchni suną jak łabędzie łódki rybackie, od czasu do czasu płynnie od brzegu elegancka łódź spacerowa, napelniona strojnem i gwarnem towarzystwem. Parowce w pewnych odstępach czasu przybijają do brzegu, rozlega się dzwonek na przystani, rzucają pomost, tłum wesoły, uśmiechnięty, wysiada, na jego miejsce wsiadają nowi goście, znów rozlega się dzwonek, świstawka i parowiec odpływa wśród płusku fal, gwaru podróżnych i słonecznych promieni.

Hotel de Paradiso na południowo-zachodnim brzegu jeziora, opodal od miasteczka Lugano, tonie wśród zieleni i słońca. Na werandzie siedzi Jan z książką w ręku, błądy, wystygły, postarzały o lat dziesięć, lecz wzmo-

cniony na ciele i duchu. Nie czyta. Zapatrzony w wody jeziora, śledzi ruch łódek, słucha namiętnych serenad z towarzyszeniem gitary lub mandoliny. Już od czterech miesięcy odbywa na tej werandzie popołudniową siestę.

Dzień każdy przynosi mu uspokojenie i nową zmarszczką na twarzy, i nowe siwe włosy. Uciekł od ukochanej kobiety, ocalił jej cześć, zrujnował swoje szczęście, podkopał zdrowie. I zwraca oczy w stronę rodziną, gdzie wśród gwaru stolicy zostawił sny złote, pragnienia, gdzie własne serce rozbił, jak kryształową czarą u stóp Ireny. Ale serce to pozostało czyste i ukochana kobieta niema plamy na czole.

Wszakże mógł ją wyrwać z tej klatki, tę rajską ptaszynę i powieźć z sobą do tego raj słońca i zieleni. Nad tem jeziorem, w tym hotelu del Paradiso znaleźliby raj ziemski... Szczęście, zdrowie, upojenie. A powróciwszy do Warszawy, znaleźliby od czasu do czasu sposobność odnowienia wspomnień chwil spędzonych pod włoksiem niebem.

W tej chwili może płynęłaby ich łódka w promieniach zachodzącego słońca po fioletowych wodach jeziora, w takt cudnej pieśni, tej samej, którą śpiewała Irena przed paru laty:

„Tam pali — tam pali się toń.“

On złożyłby głowę na jej kolanach, a dłoń jej biała, ciepła, gładziłaby jego czoło, rozczesywałaby długimi palcami jego włosy... I płynęliby po jeziorze, cicho, w rozmarzeniu, w upojeniu beztroski, oddani sobie, zostawiwszy smutki i obowiązki w tem dalekiem mieście, spowitem we mgły wilgotne, w opary chorobotwórcze... gdzie żądni szczęścia przędą szarą nić życia...

Dla nich kwitłyby teraz te pomarańczowe drzewa, szumiałyby te fale jeziora i perliłyby się te potoki górskie. Dla nich zachodzące słońce rozsiewałoby te złote pasma po wierzchołkach i skłonach gór, dla nich śpiewaliby ci śpiewacy włoscy i brzęczałyby jak roje koników polnych stalowe struny mandolin. A gdy ostatnie promienie słońca zaróżowiłyby glorię na wzgórzu, łódź ich dopływałaby do przystani.

I znowu zasiedliby do uczty wieczornej, rodzinna siesta nad brzegiem jeziora i cicha rozmowa urywanemi słowy, dłonie splecione w uścisku...

Zapatrzeni w gwiazdy, spędziliby część cudownej nocy na marzeniach, na wspomnieniach...

Myśli te paliły mózg Jana przez cztery miesiące w jego samotności. I pytał sam siebie: Czemu?!

Ona tam może w nocach bezsennych zalewa się łzami i więdnie, tak jak on usycha.

Do przystani przybił parowiec. Dano sygnał, spuszczone pomost. Szwajcar hotelowy odebrał tłumoki jakiejś pary elegancko ubranej, oblicze promieniejącej szczęściem kobiety pełne było blasku i promiennej radości. Mężczyzna spoglądał na nią tryumfująco.

Na spotkanie wybiegł gospodarz i kilku służących.

— Ach, jak tu pięknie! — rzekła dama po polsku.

— Zabawimy tu tydzień — odrzekł pan, —

a potem pojedziemy do Strassy nad Lago Maggiore.

Po chwili znikli w kurytarzu. Na dźwięk mowy rodzimej, na widok tej pary szczęśliwej, serce Jana zadrgało bólem.

Po upływie godziny para nowych gości zajęła stolik w kącie warandy. Dwa nakrycia, dwie świece, bukiet świeżych kwiatów, dwoje ludzi szczęśliwych.

Jan patrzy na nich i czuje zamęt myśli. Chciałby uciec ztąd, aby nie widzieć cudzego szczęścia, sił mu brak. Patrzy więc i słowa serdecznej rozmowy mimowoli dolatują do jego uszu. Dwoje ich tylko, ale otacza ich poezja życia, bo szczęście jest z nimi, w nich, bo w sercach ich płonie ten ogień sobótki, przy którego blasku w noc Świętojańską rozkwita kwiat paproci. Przez stolik przesuwały się półmiski, kieliszki brzęczą, wino się pieni. Szczęście, miłość!

Jan widoku tego dłużej znieść nie może. Powstaje i chwiejnym krokiem wraca do swego pokoju.

Przyciska guzik przy drzwiach, łagodne światło rozjaśnia jego pusty pokój. Otomana nęci do spoczynku. Rzuci się na nią bezsilny.

Przez otwarte okno ałychać szum fali, uderzający o marmury wybrzeża i uderzenia miarowe wiosła.

Po chwili słyhać śpiew kobiety i mężczyzny:

„Tam pali — tam pali się toń...”

Czarowna, wiosenna, południowych okolic noc rzuciła swój płaszcz gwiazdami usiany na góry i doliny. Roztwierają się kielichy kwiatów, ziejąc wonnym oddechem.

VII.

Szemerzą fale jeziora Lugano, na Monte Salvatore [stary] pustelnik szepce pacierze, prosząc o pokój dla siebie i dla grzesznych synów ziemi. Przez otwarte okna do pokoju Jana płynie woń kwiatu pomarańczy i magnolii. Z północnej strony niebios odrywa się jasna gwiazdka i sływa ku ziemi.

Jan patrzy na nią. Zbliża się powoli otoczona białym obłokiem — płynie bliżej — coraz bliżej.

Powoli z tej jasności wynurza się ukochana postać Ireny, spowita białą szatą, z wieńcem liliowym nad czołem, popielate jej włosy spadają jak płaszcz królewski, na jej ramiona, pod stopami jej wyrastają fioletki, białe ręce wyciąga do uścisku.

Do przystani hotelu del Paradiso przypływa cicho gondola. Irena bierze Jana za rękę i prowadzi po schodach. Siadają. Łódź płynie wśród nocy gwiazdzistej, nad nimi niebo ciemne i tajemnicze, pod nimi głębia wód... Łódkę otacza różowy obłok szczęścia...

Taki sen czarowny sprowadziły na biedną duszę Jana gorące modły pustelnika na Monte Salvatore.

Takie sny o szczęściu mogą mieć tylko nieszczęśliwi.

Czemuż sen taki nie stanowi przejścia do nicości?

Czemu wschodzące słońce budzi duszę do nowych, a tak dobrze znanych cierpień?

VIII.

Postanowił zwyciężyć pragnienia i zwyciężył.

Lecz miłości z serca nie wydarł.

I żyć musiał. Nie dla niej. Nie dla siebie.

Zburzyła mu spokój jednym pocałunkiem, jednym szeptem cichym, miłosnym. Pragnęła dać mu szczęście, o jakim marzył przez długie lata pracy i zawodów...

Niechże będzie błogosławione jej imię, niech ją otula przez życie białą szatą...

Jego ukochana taką jest i taką pozostanie.

Tak mu rozkazał głos sumienia, które nie uznaje żadnych kompromisów.

„Nie pożądaj żony bliźniego twego,” — słowa te zapisane są w sercu każdego uczciwego człowieka.

Ksiądz łączy ręce na dożywotnią niedolę.

Bóg łączy serca na wieczną miłość, na wieczne szczęście.

I za tem smutnem szczęściem, które idzie, krwawiąc stopy na drodze ciernistej, wlecze się myśl Jana.

Budzą się ptaki w ciepłych gniazdach i cichym świągotem witają jutrzeńkę: Witaj, witaj!...

Na Monte Salvatore stary pustelnik kłęczy i wyciągnawszy ramiona ku niebu śpiewa:

„Ave maris Stella...”

W oknie hotelu del Paradiso stoi Jan, a usta jego szepcą:

— „Przybądź!...”

Nikt go nie słyzy, nikt mu nie odpowiada.

W majestacie purpury wstaje słońce, oświetlając piękności rozbudzonej przyrody i niedole człowieka.

Przyroda dokoła uśmiecha się i raduje słońcem i wiosną, a ty sam jako kwiat zdeptany ciężką stopą obowiązku wędziesz i usychasz.

A kto wie?

Kobieta, którą ukochałeś, pogardza może tobą w tej chwili. Pragnęła oddać twym ustom swoje usta, podobne do rozkwitającej róży, swoje oczy — siostry niezapominajek, białem ramieniem opasywała twą szyję, a do uszu twych szeptała: „Bądźmy szczęśliwi!...”

Drżała w twoich objęciach. Cóżś uczynił z jej pragnień, które były twemi, z jej nadziei, które były twemi, z miłości, która była waszem szczęściem.

Obowiązek. A nagrodą za jego spełnienie — twoja samotność, tułactwo serca wieczne, łzy z ukochanych oczu w czasie nocy bezsenych.

„Honor ocalał — tu spoczywa szczęście.”

Epitaphium wymyślone w głupim mózgu.

Spojrzyj na wody jeziora, tam pływają pary łabędzi i pary gęsi.

Spojrzyj na szczyty gór, tam króluje orzeł z orlicą, w pomarańczowych gajach rozbrzmiewają pary słowicze, a pod błękitny niebios unoszą się pary szarych, ubogich skowronków.

Płazy tylko i ludzie pełzają po ziemi, nie mają skrzydeł orła. Pełzaj niewolniku obowiązku po ścieżynie utartej przez miliony, a szczęście od ciebie tymczasem odchodzi, zasłaniając twarz gałązką cyprysu...

Czyż nie więcej wart jeden dzień tego

barwnego motyla, niż twoje życie ślimaka w skorupie obowiązku.

Jeden dzień promienny motyla i sto dni ciemnych ślimaka przemiana, barwne łuski motyla wiatr zanieśie i zawiesi na przestrzeniach słonecznych, a ciało ślimaka zmiesza się z mułem ziemi. A skorupę jego rozdepta stopa przechodnia, jak, jak serce twoje zdeptała stopa obowiązku.

I nie zostanie z ciebie nic — nic — nic.

Nawet żalu, nawet wspomnienia.

Honor ocalał — tu spoczywa szczęście.

A na tym grobowym kamieniu wypłakane oczy Ireny odczytują napis zatarty: „Tu leży człowiek, który nie umiał kochać.”

A mąż jej powie:

— Ależ to był głupiec!...

Serce, czemuś się zbudziło z letargu miękkim dotknięciem białej dłoni kobiety?

Każdy wschód słońca przynosi ci ciszę gorczy, ciszę wspomnienia.

Wspomnienia! trucizna...

Dla ciebie tylko pustelnik na Monte Salvatore szepce wieczorną modlitwę, dla ciebie prosi o spokój: Pacem aeternam.

IX.

Pod płomiennem spojrzeniem słońca rozkwitają krzewy i drzewa, zielenią się skłony gór. Rozbrzmiewa dookoła śpiew ptaków i ludzi. Ciepły wiatr marszczy tafelę błękitną jeziora, fala po fali rozbija się o brzeg białą pianą, która następnie mieni się kolorami tęczy. Natura cała odrodziła się, przesycając powietrze wonią kwiatów i wilgotną świeżością wiosny.

Ale istota ludzka z rozbitem sercem usycha.

Zapadła pierś Jana, obwisły ramiona, policzki pobladły, siwy włos spada na skronie wyschłe, woskowe. Oczy przyémione wyrażają ból ukryty. Patrzy na kwiaty, słyzy śpiew ptaków i ludzi, plusk fal jeziora, lecz dusza jego nie bierze już udziału w tem życiu bujnym. Wypala się ona powoli, jak lampa na grobowcu, a szczęście odchodzi, oddala się, zakrywając lica gałązką cyprysu...

Bywają chwile w których usta mężczyzny zlorzczą kobiecie, zamiast je całować. Gorzka chwila! Ale i wtedy napełnia ona jego serce, panuje w duszy. Jakże kochać musi kobietę ten, którego usta nawet z oddali przesyłają jej błogosławieństwo lub słowa pieszczoty.

Jan często marzył o snach niewyśnionych, wywoływał cudne zjawy ukochanej kobiety. Pieścił ją w wyobraźni, tulił, oplatał ramieniem... Aż pewnego dnia jakies okropne przecucia zaczęły targać jego duszę, jakiś lęk ogarnął jego wrażliwą naturę, zdawało mu się, że w tej chwili coś złego się stało, coś okropnego musiało ją spotkać.

Wieczorem przyniesiono zaadresowany do niego telegram. Nie miał siły rozerwać pieczęci, czuł, że ten okropny papier niesie nieszczęście! Uspokoił się siłą woli, otarł zroszone czoło, zerwał pieczęcie... Krótkie wyrazy: „Mąż mój nie żyje!” — Irena.

Głuchy łoskot upadającego ciała rozległ się w pokoju, Jan runął na podłogę bez zmysłów.

Kilka dni trwał stan beznadziejny, w gorączce tylko wymawiał niezrozumiałe wyrazy,

a czasem imię ukochane. Gdy nareszcie wróciła trzeźwość umysłowa, gdy zupełnie jasno pozwoliła mu spojrzeć w swoje serce, ujrzał tam okropny obraz, ciemność nieprzebytą, bez żadnego jasnego promyka; ciemność, w której duch jego biedny miał już błądzić wiecznie...

Pierwszą jego myślą było uciec, uciec za jakąkolwiek cenę z tego miejsca. Zdawało mu się, że uciekając, uciec zdoła przed ogromną pustką i bólem, które zwarły się w żelazny węzeł nad jego biedną głową. Wyjechać! Ale gdzie? Czyż on może powrócić do kraju? czyż będzie mógł zobaczyć te ukochane oczy we łzach? te wesołe pokoiki napełnione gromnicznym zapachem? twarzyczki ukochanych mu dzieci, wylekłe, zapłakane? i tę twarz tyle przez niego szanowaną, jemu zawsze przyjazną, martwą!... Nie, to nad jego siły!

Jan ścisną głowę i myśli: wrócić, czy nie wrócić? A twoja żona? Nie wolno ci, nie wolno, masz na rękach kajdany!

X.

Wyjechał, pędził z miasta do miasta, zagłuszał się aż do szalu, próbował chodzić do teatrów, do kabaretów, na kolacyjki. Pił do zapamiętania. Niestety, po to tylko, ażeby z okropniejszym jeszcze bólem się budzić, ze wstrętem do zabaw, ze wstrętem do siebie, znudzony beznamiętnie, moralnie i fizycznie.

Pewnego dnia spotkał znajomego z kraju, który powitał go serdecznie, opowiadał co słychać w Warszawie. Jan nie śmiał pytać o nic... ale jakże pragnął usłyszeć to imię, dowiedzieć się o losach ukochanej kobiety, jednocześnie zaś drżał na myśl, że ona cierpi...

Znajomy na rozejściu się rzucił od niechcienia:

— Ale, ale, czy wiesz, doktorze, że pani Irena owdowiała, i że podobno została w bardzo ciężkich interesach... biedna kobieta... no, ale znajdzie radę, pewnie wyjdzie powtórnie za mąż, młoda, ładna wdówka?... nieprawda? Żegnam kochanego doktora, spieszę na obiad, do widzenia...

Jan stał długą chwilę jak skamieniały. Ona, Irena, ta delikatna istota, będzie musiała dotknąć się prozy życia swojemi białemi rękoma, będzie musiała zatapiać dłonie w ciernie trosk zwykłych.

— Nigdy! — postanowił nagle, — powrócę, wezmę to niedoświadczone, duże dziecko za ręce i poprowadzę w świat, zasłonię przed czyhającym nieszczęściem, pojedę jutro i to najspieszniejszym pociągiem...

Nareszcie! Wraz z różanym blaskiem poranku doczekał się magicznego słowa: „Warszawa!“

Jan kazał się wieźć do hotelu. Zanim wstąpi do własnego domu, chciał się zobaczyć z Ireną.

W parę godzin wchodził na dobrze znane schody.

Serce przycisnęło dłoń, a oczy zasnęły mu mgłą, nogi drżały pod nim, gdy wyciągnął rękę do dzwonka. Jakież było jego zdziwienie, gdy na odgłos dzwonka nikt nie spieszył

mu otworzyć. Dzwonił kilka razy, z jakąś rozpaczą strasznego przecucia.

Gdy usłyszał po za sobą głos stróża, który otwierając drzwi z klucza, objaśnił go, że pani, co tu mieszkała, w kilka miesięcy po śmierci pana wyjechała z dziećmi gdzieś za granicę i pewno już nigdy nie wróci, bo wszystkie rzeczy wywiozła.

W tej chwili drzwi się otwarły przed Janem i wszedł, jak do grzbu, do pustego mieszkania. Ta sama tapeta, te jasne okna. Pustka, okropna pustka!

W tej chwili zdawało mu się, że oczy łez pełne i żalu, te wielkie, miłosne oczy Ireny, uderzyły w jego duszę niewypowiedzianym żalem, a usta szepnęły: „Zapóźno!“

W moim ogródku zakwitły kwiaty
Jesienne —
A w duszy pragnień zagasły światy
Promienne.
O już pokusa serca nie zmoże,
I zgłnę,
I uczuć kwiaty na trumnę złożę
W daninę.



A kiedy umrę...



A kiedy umrę, nie płaczcie nade mną
Wy, serca blizkie — wy oczy kochane!
Przejdę w krainę nieznaną, tajemną,
Lecz — może cierpieć przestanę?...

A kiedy umrę, nie płaczcie nade mną!
Mnie nęci Prawdy oblicze świetlane!
Tak mi tu obco, i zimno, i ciemno...
Może tam tęsknić przestanę?...

A kiedy umrę, nie płaczcie nade mną:
Dzień za dniem w sercu nową żłobi ranę!...
Bój z losem w ciszę nie sięga podziemną —
Może tam — walczyć przestanę?...

A kiedy umrę, nie płaczcie nade mną
Wy, serca blizkie, wy, oczy kochane!
Może tam — burze w głowie mojej zdrzemną?
Może tam — myśleć przestanę?...

Wanda Krasuska-Moryczowa.



Z „Salonu“ Sztuk pięknych.



Wystawa belgijska — Prace Melanii Mutermilchowej.

W tegorocznym, wyjątkowo urozmaiconym sezonie, w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych, wystawy zmieniają się z nadzwyczajną szybkością, a wielka ich różnorodność, oraz staranny dobór składających się na nie dzieł sztuki, budzi ogólne zainteresowanie i z po-

wodzeniem rozprasza wreszcie atmosferę obojętności i chłodu, jaką szeroka publiczność otaczała dotąd przejawy działalności artystycznej nielicznego grona adeptów i miłośników sztuki.

Dzięki niezłomnej energii i rzutkości obecnego kierownika artystycznego Zachęty, p. Krywulta, w naszym Pałacu sztuki gości obecnie nader ciekawa wystawa, obejmująca szereg prac malarskich wybitnych artystów belgijskich. W szeregu trzynastu nazwisk obecnych wystawców, spotykamy głośne imiona pierwszorzędnych przedstawicieli współczesnej sztuki belgijskiej, a chociaż przysłane przez nich do Warszawy prace nie należą do najlepszych dzieł swych autorów, jednak poziom wystawy naogół jest wysoki i o wybitnej kulturze artystycznej świadectwo dający.

Sztuka belgijska po świetnej epoce swego rozkwitu w wieku XVI-ym i XVII-ym, gdy nazwiska Rubensa, Van-Dycka, Rembrandta zapisały się złotymi zgłoskami na kartach wszechświatowej historii sztuki, jako szkoła flamandzka przechodziła długotrwały okres omdlenia niejako, z którego budzić zaczęła się dopiero w wieku XIX-ym, w którym zabłysły imiona Leysa, Wiertza, Konstantego Meunier'a i innych.

Wybitne miejsce w współczesnej sztuce belgijskiej zajął pejzaż, oraz artystycznie i z wielkim zamiłowaniem traktowana „nature“ morte i kwiaty. Grupa obecnych wystawców w Zachęcie składa się z głośnych w ojczyźnie swych artystów; należą tu następujący malarze: Alfred Bastien, H. Cassiers, Fr. de Haspe, Alfred Delaunois, Wiktor Gilsoul, M-me Gilsoul Hoppe, Ferdynand Knopff, E. Laermans, A. Marcette, Henryk Meunier, M-elle G. Meunier, Rudolf Wytzman i M-me Wytzman.

W pracach wszystkich tych artystów znać szkołę poważną, czuć wiekami wyrobioną kulturę artystyczną. Nie wszystkie utwory ich równe wrażenie wywrzeć mogą, zawsze jednak przyznać należy, iż tak malować mogą tylko ci, co z pokolenia w pokolenie na pierwszorzędnych wzorach sztuki oko i smak swój kształcili: w Belgii spotykamy często całe rodziny, niejako dynastye malarzy. Obecny wystawca Henryk Meunier jest synem wybitnego rytownika, a synowcem znakomitego rzeźbiarza, Konstantego Mounier. Poświęca się on przeważnie sztuce graficznej; na obecnej wystawie ma szereg akwafort, w których niezwykła maestria techniki, pewność i czystość linii łączy się z umiejętnością wywołania nastroju, oddania całego piękna i poezyi danego momentu w naturze. Rozmiłował on się specjalnie w groźnych, skalistych płaskowzgórzach Ardeńskich, których ponury nastrój odtwarza z wielkim talentem. Zajmują go noce romantyczne a chmurne, krzyże samotne, opuszczone, obłoki niespokojne, skłębione w dziwne jakieś kształty. Trwoga, niepokój, jakiś nastrój mistyczny a ponury wieje z prac tego artysty. Siostra jego, M-elle Georgette Meunier, to na obecnej wystawie jedyna ale bardzo wybitna przedstawicielka ulubionego przez Belgów rodzaju — martwej natury. Obraz jej „Souvenirs de marice“ ma w sobie czar łagodnego smętku i poezyi, z tych nieożywionych przedmiotów unoszącej się niewidzialną a przejmującą nutą. Tępy subtelne, perłową bielą mieniące się, dają gamę przedziwnych w swej harmonii odcieni. Dwa inne płótna tej artystki: „Mandolina“ i „Stara szkatułka“, chociaż nie dorównują pierwszemu, mają jednak wysoką wartość artystyczną. Wiele nastroju i głębokiej poezyi wieje z prac Alfreda Delaunois.

Wybiera on tematy skromne; wnętrza klasztorów, ich kurytarze spokojne i tajemnicze, ciche nawy kościelne, o zapadającym zmroku wieczornym, stare mury ze szczelnie zamkniętymi drzwiami — oto co zajmuje młodego artystę. odtwarza on jednak nie zewnętrzną tylko stronę tych rzeczy, lecz odszukuje nie-

jako ich duszę, wyczuwa ich mowę cichą, a wyrazistą w swej tajemniczości. Technika, w której łączy rysunek piórkowy z akwarelą i gwaszem, kolorytem szarym, z umysłu przy-
 ómionym i spokojnym, wywołuje nastrój głą-
 boki a subtelny, każe widzowi przeżywać
 z sobą razem chwile nastroju, wysnute w tych
 cichych zakątkach. Delaunois—to największy
 subiektywista-liryk obecnej wystawy, i naj-
 głębsze też wrażenie wywiera na widza.

Dużo nastroju i pogłębienia myślowego
 mają też prace Ferdynanda Khnopffa; jego
 obraz olejny „Chwila stanowca“ porusza nas
 swem tragicznym skupieniem; rysunek „Czer-
 wone usta“ ma w sobie dużo czaru kobieco-
 ści; akwaforty tegoż artysty pobudzają do
 poważnych refleksji.

Pejzaż ma też wybitnych przedstawicieli
 na belgijskiej wystawie; Wystman de Haspe,
 Marcette, godnie reprezentują ten dział ma-
 larstwa. Wystman drobiazgową a wytworną
 techniką stara się odtworzyć drgania przepo-
 jonego słońcem powietrza; stara się przenieść
 na płótno bogactwo barw, jakimi jesień po-
 krywa jednostajną letnią zieloność drzew; do
 najlepszych wśród wystawionych prac należy
 jego „Wieczór w Brabancji.“

De Haspe daje pejzaże o technice bardzo
 spokojnej, lecz silne i skupione w tonie; od-
 twarza naturę sumiennie, z dużą umiejęt-
 nością malarską i równowagą; jego „Pieśń
 o zmierzchu“ wywiera poważne, głębokie wra-
 żenie.

Świetny marywista Marcette z zapalem stu-
 dyje zmienny żywioł: zajmuje go ruch fal,
 ich kameleonowa rozmaitość barwy i kształtu;
 „Burza“ artysty namalowana z rozmachem
 technicznym i wielkim wyczuciem nastroju
 chwili, pokazuje, jak bardzo ukochał on wo-
 dę i do jak wysokich rezultatów doszedł już
 w swej sztuce.

Wiktor Gilsoul ma tu parę ciekawych wi-
 doków holenderskich, a żona jego M-me Gil-
 soul Hoppe — harmonijne w kolorze akwa-
 rele, przeważnie studia kwiatowe.

Malarstwo rodzajowe reprezentują na obec-
 nej wystawie dwaj artyści: Alfred Bastien
 i E. Laermans. Wielkie płótno Bastiena, przed-
 stawiające „Tancerki arabskie“ odznacza się
 dużym wyczuciem ruchu w układzie, oraz
 żywością i barwnością kolorytu.

Eugeniusza Laermansa: „Plemię tułaczek,“
 wywiera wrażenie grozy, zarówno w pejzażu,
 jak i w ugrupowaniu sylwetek ludzkich, trak-
 towanych z rozmyślną twardością i oschło-
 ścią. Artysta nie miły może, trochę brutalny
 w kolorze i układzie figur, ale silny i na do-
 brych dziełach dawnej sztuki wzorujący się.

Jednocześnie z wystawą artystów belgij-
 skich, otwartą została w Zachęcie wystawa
 prac malarskich p. Melanii Mutermilchowej,
 warszawianki, od lat kilku jednak stale w Pa-
 ryżu przebywającej. Pani Mutermilchowa do-
 tąd wystawiała przeważnie za granicą; u nas
 prace jej widywaliśmy rzadko i tylko pojed-
 yńcze utwory; z całą zaś grupą jej dzieł
 poraz pierwszy mamy możność zaznajomić się.
 Talent p. Mutermilchowej, przedstawia się
 bardzo różnorodnie; daje ona portrety, obra-
 zy rodzajowe, pejzaże, malowane zarówno
 olejno jak i pastelami. Przedstawia się ona
 jako artystka z dużą kulturą artystyczną
 i wyrobioną techniką, lubującą się w tonach
 przyćmionych, trochę sztucznie harmonizowa-
 nych. Patrzy na naturę pod specjalnym
 kątem, a oświetlenia i efekty kolorystyczne
 przeprowadza podług pewnego z góry po-
 wziętego planu.

W pejzażu efekty słoneczne są pochwycone
 mniej szczęśliwie, za to bardzo dobrze przed-
 stawiają się nastroje wieczorne, harmonijne
 i pełne spokoju. Bardzo ciekawe są trzy ty-
 py głów starych wieśniaków bretońskich, rzu-
 cone na tle pejzażu. W ogóle w studyach
 twarzy znać duże wniknięcie w psychologię
 danej postaci, wczucie się niejako w jego

głębię duchową. W pracach p. Mutermilcho-
 wej czuje się rozmach i temperament arty-
 styczny, poparty dużą wiedzą techniczną,
 oraz kulturą; powitać zatem w niej należy
 młody a bardzo obiecujący talent, który po-
 większył niezbyt liczny zastęp artystek na-
 szych, o imieniu znanem w sztuce plastycz-
 nej zarówno wśród obcych, jak też i wśród
 swoich.

Z. Skorobohata-Stankiewiczówna



PRZEGLĄD MUZYCZNY.



Rozpoczęcie sezonu operowego. — „Salome“ Ryszarda
 Straussa i „Jadwiga“ Karola Kurpińskiego. — Koncert na
 dochód Towarzystwa opieki nad nieuleczalnymi.*

Dyrekcya Filharmonii, która w ciągu kilku
 lat umiała tę naszą instytucję muzyczną po-
 stawiać na stanowisku pierwszorzędnym i isto-
 tnie europejskim, zamierza tą samą drogą
 stapać na niwie rozwoju opery warszawskiej,
 zarząd której ku nie małemu zadowoleniu
 tych, komu na sercu losy opery warszawskiej
 leżały, niedawno objęła i której przedstawi-
 enia inauguracyjne niedawno święciła.

Wierna swemu dotychczasowemu progra-
 mowi zaznajamiania społeczeństwa naszego
 z tem wszystkim, co na Zachodzie cieszy
 się rozgłosem aktualnym, wybrała na ten swój
 debiut ni mniej, ni więcej, tylko rozgłosną
 „Salome“ Ryszarda Straussa.

Nie było chyba dotychczas dzieła, któreby
 wywołało tyle różnych sądów, jak utwór Straus-
 sa. Od największych zachwytów do niesły-
 chanej ostrości przygan, przeszedł on dotych-
 czas całą gamę zdań krytycznych nie tylko
 w starej Europie, ale i w młodej Ameryce;
 zdania o wartości jego dotychczas są nieusta-
 lone, to też prawdziwe uznanie należy się
 obecnym kierownikom opery za to, że z isto-
 tnym obiektywizmem postarali się pozyskać
 tę nowość sensacyjną. Zyska na tem z pe-
 wnością zarówno światopogląd melomanów na-
 szych, jak i ich poczucie krytycyzmu, o co
 zapewne w danym wypadku najgłówniej cho-
 dziło. Co zaznaczając, przechodzimy do oce-
 ny sensacyjnej nowości.

Za tekst do opery posłużył niemniej od niej
 rozgłosny dramat Oskara Wilde'a. Oto jego
 treść. Piękna księżniczka Salome, pasierbica
 Heroda, zapalała ogniem zmysłowej miłości
 ku osobie św. Jana Chrzciciela. Ale dusze
 tych dwojga ludzi nie rozumieją się nigdy:
 on wskazuje jej horyzonty odległe, jasne
 i droge cierniową do nich wiodącą; ona zna
 tylko miłość ziemską i jej upojenia. „Cało-
 wać chcę usta twe, Johanaanie!“ — brzmi jej
 namiętny okrzyk. I słowa te powtarza Salo-
 me bez końca, idą one przez cały dramat
 poety, niby motyw przewodni. Odrącona,
 szalem miłości uniesiona, zamierza za jaką
 bądź cenę dopiąć swego. Sposobność od te-
 go trafia się niebawem. Herod-neurastenik,
 radby oczy swe napoić widokiem pięknej pa-
 sierbicy, której ciało ma w tańcu roztaćcać
 czarujące wdzięki. Przysięga, że wszystko,
 czego ona zażąda, ofiaruje za chwilę rozkosz-
 nego widoku. Salome tańczy, a gdy skoń-
 czyła, żąda głowy proroka. Herod po dłu-
 gich wahaniach i targach ustępuje — kat
 schodzi do studni, oto po krótkiej chwili pot
 jawia się z uciętą głową Johanaana. Teraz
 księżniczka szaleje: nawet dwór Heroda, ze-
 psuty i cyniczny, z przerażeniem spogląda
 na nią, gdy uniesiona perwersyjną chucią,
 zatapia swe usta w martwe usta proroka,
 gdy ramionami obejmuje namiętnie tę głowę.
 Wreszcie Herod przerażony tym widokiem,

rozkazuje strażę zabić Salome, która też gi-
 nie wśród ciosów żołdactwa.

Tak kończy się dramat Wildego, dzieło, po-
 mimo przeinaczenia treści najistotniejszej fa-
 ktu dziejowego, tudzież widocznych braków
 etycznych, wyrosłych na podłożu chorego
 erotyzmu poety, wysoce wartościowe, orygi-
 nalne, wywierające swą barwnością, tchnie-
 niem poetyckim i grozą dramatyczną wraże-
 nie potężne.

Wrażeniu temu oprzeć się nie zdołał
 i Strauss. Bajeczny kalejdoskop barw i ko-
 lorów dramatu pociągnął jego, „kolorystę“
 z krwi i kości, i oto zapragnął mową tonów
 wrażenie to spotęgować jeszcze bardziej.

Czy celu swego jednak dopiął — po części
 śmiemy w to wątpić.

W muzyce swej dał Strauss wszystko to,
 co stanowi właściwość jego indywidualności
 artystycznej. Postawiwszy pewną ilość zasa-
 dniczych tematów (jak chcą niektórzy „wyr-
 zów“ muzycznych), rozprowadził je na wszel-
 kie modły i sposoby w najoryginalniejszych
 i najzawilszych kombinacjach kontrpunkt-
 czynnych, rzucając się w wir najbardziej ryzy-
 kownych szczegółów harmoniczych, często
 godnych studyów osobnych, jako zupełnie no-
 wych (np. połączeń równocześnie brzmiących
 dźwięków i tonacji odmiennych, dających
 złudny efekt eufonii). Motywy walczą tu
 z sobą w zapamiętałych zapasach; wszystkie
 sztuki udzielają im swojego uroku. Barwność
 kolorytu, wypukłość plastyki, pogłębienie filo-
 zofii, mieszają się i kłębią w jakimś olśnie-
 wającym, potwornym, niemal nieokielznanem
 rozprężeniu. Wielka sztuka orkiestrowania
 i technika kompozytorska, rozmiarami swemi
 i stopniem rozwoju sięgająca wyżyn genial-
 ności, są w stanie wprost oszołomić słucha-
 cza. Mimo to, gdy w końcu zbliżamy się
 do epilogu, słuchacz tu mimowoli zaczyna
 sobie zdawać sprawę, że zasugestyonowany
 dramatem w muzyce nie rozwinął się istotnie
 przed jego oczyma, że coś się stawało, czy
 też stawać miało po za nim, czemu przysłu-
 chiwał się z natężeniem, a w umyśle po mo-
 zolnym wysiłku zostało tylko... znużenie.

Czyżby sposoby połączenia wyrazów z to-
 nami tu zawiniły? Czy może uznana już
 zdolność Straussa charakteryzowania pewnych
 momentów akcji, zawiodła tym razem. Nie.
 Przyczyna tego leży głębiej — w samym chara-
 kterze muzyki kompozytora wiedeńskiego.
 Przejaskrawiona ta muzyka, mało uducho-
 wiona, zawierająca nie zbyt wiele „myśli,“
 owianych czarem fantazyi i szlachetności, mo-
 że olśniewać, może rwać nerwy słuchacza
 chwilami nawet na strzępy, działa jednak
 tylko i *jedynie* fizycznie, a więc brak jej tych
 cech, jakie podpadają pod utarte w estetyce
 muzycznej pojęcie *piękna muzycznego*. Więcej
 w niej dowcipu, jak inwencji, więcej pomy-
 słowości kombinacyjnej i efekciarstwa, niż
 szczerego natchnienia — ztąd też nie wywiera
 wpływu na wyobraźnię słuchacza, nie porywa
 go, nie wzrusza, nie upaja..

Muzyka to, jak się wyraża znany nasz
 estetyk muzyczny, St. Niewiadomski, schył-
 kowa — „twór zmierzchu; czuć w niej zbliża-
 jącą się noc, po której kiedyś, kiedyś, jakies
 światy nowe nastaną.“

W tej schyłkowości „Salome“ leży właśnie
 przyczyna dotychczasowych jej powodzeń nad-
 miernych i niepowodzeń poważnych w róż-
 nych środowiskach sztuki muzycznej. Jak ka-
 żde zresztą dzieło rąk ludzkich, opera Straus-
 sa jest produktem pewnej indywidualności
 czasu i kultury, nowością niosącą za sobą
 uderzenie pulsu uczuć i pragnień danego
 społeczeństwa. Czyim pragnieniom odpowia-
 da (pomijając już tkwiący w niej urok czegoś
 „nowego“) — temu podobać się może, i nawet
 bardzo. Jaki los czeka ją u nas — przesądzać
 trudno.

Tymczasem publiczność warszawska licznie
 na przedstawienia opery Straussa uczęszcza

Nie małym magnesem przyciągającym w tym względzie, przyznać to należy, są również zalety jej wykonania i wystawienia, o wiele większe (jak zapewniamy ci, którzy „Salome“ oglądali gdzieindziej), aniżeli na wielu scenach zagranicznych. Oprawie kostymowo-dekoracyjnej, efektem technicznym, pracy reżyserkiej i całemu w ogóle przygotowaniu opery, zarówno pod względem muzycznym, jak i scenicznym, nic zgola zarzucić niepodobna — całość idzie jak z płatka. daje znakomite wyniki artystyczne, do których przyczyniają się w znacznej mierze wszystkie czynniki składowe widowiska.

Zespół, świetnie zgrany i ześpiewany wykonawców, stanowią: panie: Szipanek, młoda i bardzo uzdolniona przedstawicielka partii tytułowej, Oleska i Frenklówna (dublujące rolę Herodyady), oraz pp. Bandrowski, przepyszny w wyrazie Herod, Zawilowski, odtwarzający ze szlachetnym artyzmem postać proka Johanaana, Łowczyński i Malawski (dublujący nader trudną partię tenorową oficera straży przybocznej Heroda, Narrabutha.

Doskonale również wywiązują się z zadania wszyscy przedstawiciele ról drugoplanowych, zarówno jak i orkiestra, której za kunsztowne traktowanie pod wodzą dyrektora Rezniczka wszystkich subtelności orkiestracyjnych, hojnie rozsypanych dłońią takiego mistrza instrumentacyjnego, jakim jest Strauss, należą się osobne słowa pochwały.

Oprócz opery Straussa, dyrektora Filharmonii dała nam poznać drugą nowość (przynajmniej dla pokolenia dzisiejszego) repertuarową. Jest to trzyaktowa opera Karola Kurpińskiego do tekstu Niemcewicza „Jadwiga“, którą zainaugurowano t. zw. cykl widowisk operowych polskich.

Partycję „Jadwigi“ skreślił Kurpiński w r. 1814-ym, poczem wystawione niebawem na scenie Teatru Narodowego, dzieło to aż do roku 1831-go szczerze zachwycało słuchaczy ówczesnych. Zmienione warunki polityczne w jakich ujrzał się kraj cały po upadku powstania Listopadowego, wpłynęły na usunięcie opery Kurpińskiego ze sceny, na której mogłaby budzić jakieś niepożądane wówczas rojenia i myśli... Dziś naturalnie jest to już zabytek archiwalny, przedstawiający jednak tyle jeszcze wartości, że myśli przypomnienia go po latach tylu, szczerze przyklasnąć należy.

Na wartość „Jadwigi“ składają się w równym stopniu: zarówno jej strona literacka, jak i muzyczna. Libretto pomimo patyny klasycznej, odznacza się językiem wcale pięknym, akcyi na scenie nie brak życia, toczy się ona gładko i ruchliwie, treść posiada fabułę zajmującą, dla nas tembardziej, że przenosi nas w ową chwilę dziejową narodu, która przyniosła następstwo błogosławione, a która dziś bardziej może, niż kiedykolwiek, potrzebuje przypomnienia „gwoli serc pokrzepieniu...“

Treść tę ilustruje muzyka sympatyczna nad wyraz. Zapatrzony w geniusz Mozarta i pozostający bezgranicznie pod wpływem tego potentata muzycznego, nie zdobył się w niej wprawdzie Kurpiński na oryginalność stylu i opracowania technicznego, w dobie obecnej posiada ona wiele ustępów zbyt już może nawiadanych, z tem wszystkim jest w niej ogromnie dużo artyzmu. Nie dlatego, że trzyma się ona form klasycznych i ma wszelkie prawo, aby ją za wzorową pod tym względem uważać; i nie dlatego, że melodia po melodyi płynie tu okrągło i przystępnie, lecz dlatego, że kompozytor umiał małymi środkami cudownie niektóre rzeczy odmalować i wzbudzić w słuchaczu często nastroje, jakich daremnie szukalibyśmy u niejednego z twórców nowoczesnych. A nadewszystko dla tej prostoty szlachetnej i czystości, licującej przedziwnie z legendową czystością bohaterki, lilii-królowej, i z powagą dziejowego obrazu.

Ten artyzm, tkwiący w muzyce „Jadwigi“, sprawia to, że dzieła Kurpińskiego i dziś

słuchać można z zadowoleniem istotnym, zwłaszcza, jeżeli przytem wystawione jest z taką starannością i poczuciem stylu, jak to ma miejsce obecnie. Rzeczywiście ze strony kierowników opery warszawskiej nie poskąpiono zabiegów i trudów, aby całość widowiska wypadła udatnie pod każdym względem. To też dekoracje, kostyminy (według Matejki), układ sceniczny i t. p., mile nęcą oko, dają wrażenie prawdy i ścisłości historycznej, całokształt zaś wykonania pod batutą dyrektora Noskowskiego, wykonania, w którym o palme pierwszeństwa walczą wszystkie czynniki, poczynając od przedstawicieli partii głównych, pań: Tracikiewiczówny i Doliwy, oraz pp. Zawilowskiego, Łowczyńskiego, Grąbczewskiego i Kotarbińskiego (rola mówiona), aż do chórów i orkiestry, że wzór do naśladowania zalecony być może.

Na zakończenie niniejszego przeglądu wspomnieć jeszcze należy w paru słowach o koncercie dobroczynnym, urządzonym przez Filharmonię na rzecz Towarzystwa opieki nad nieuleczalnymi. Pierwszy ten zwiastun rozpoczynającego się sezonu koncertowego powiódł się w zupełności, zarówno pod względem programu niezwykle bogatego i urozmaiconego, jak i doboru sił wykonawczych, który reprezentował cały szereg gwiazd i gwiazdeczek naszej nowej opery, znany i utalentowany pianista, Artur Rubinstejn i śpiewaczka-amatorka, panna Janina Wertheimówna.

Ta ostatnia sprawiła prawdziwą niespodziankę słuchaczom, przedstawiając się jako artystka oniemal skończona, zwłaszcza w zakresie pieśniarstwa estradowego. Pomijając takie dane, jak głos o brzmieniu nader sympatycznym, doskonałą szkołę, dużą inteligencyi i muzykalność, młodzianka śpiewaczka ujawniła nadto wiele temperamentu, zasobnego w uczucia szczerze, smaku wytwornego, poczucia odtwórczego i zapału — słowem tego wszystkiego, co wybitne talenty znamionować zwykło. Dusza to szczerze artystyczna, przed którą, jako taką, piękna przyszłość stoi otworem, o ile naturalnie panna Wertheimówna nie ustanie w pracy nad dalszym rozwojem tych darów, których jej tak hojnie udzieliła matka-natura.

St. Dziadulewicz.



Sztuka i literatura zagraniczna.



* Wraz z pięćdziesiątą rocznicą urodzin znany dramaturg niemiecki H. Sudermann święcił też wystawienie najnowszego utworu swego w wiedeńskim „Burgtheater.“ Właściwie nie jest to sztuka, lecz luźno związane z sobą pod ogólnym tytułem: „Róże,“ trzy jednoaktówki, wypełniające wieczór: „Margot,“ „Ostatnia wizyta“ i „Daleka księżniczka.“ Wszystkie trzy są pisane z właściwą Sudermannowi akcją sceniczną, lekkością i interesującym dialogiem; największe zainteresowanie wzbudza druga z kolei, „Ostatnia wizyta,“ która sama w sobie stanowi śliczny i pełen finezyi obrazek dramatyczny. Do mieszkania młodego rotmistrza, które tak często odwiedzała potajemnie, przychodzi, po raz ostatni, głęboko zakwefiona „nieznajoma dama“ — pani hrabina. Miała ona stosunek z rotmistrzem, który był bił się o nią, jakkolwiek kochał inną, i tę inną — cichą, siedemnastoletnią dziewczynę, — w noc, poprzedzającą pojedynek, zaślubił i uczynił spadkobierczynią całego majątku, a po-

tem zginął. Wytworna dama przychodzi, aby złożyć na trumnie kochanka bukiet białych róż; w rzeczywistości jednak, aby odszukać swoje listy, któreby ją w towarzystwie mogły skompromitować. Gdy jednak doprowadza najlepszego przyjaciela zmarłego, że otwiera z nim szufladę od biurka i znajduje ją pustą, lży pamięć zmarłego, który dla niej życie poświęcił. Wówczas wychodzi młoda, świeżo-zaślubiona dziewczyna, której złożył listy i wręcza je uradowanej hrabinie; lecz wręcza jej jednocześnie i bukiet białych róż, który zdjęła z trumny i wskazuje pani hrabinie drzwi.

„Ostatnia wizyta“ wywarła na widzach duże wrażenie.

„Margot“ od lat kilku składa w tajemnicy „Róże“ purpurowe na biurku przyjaciela domu rodziców, adwokata Ebelinga. Adwokat jest doradcą rodziny i powiernikiem przykryj tajemnicy: Margot w 14-ym roku życia uwiódł niemłody, żonaty rozpustnik. Matka ukryła skandal przed ojcem i teraz, gdy Margot dorosła, przy pomocy adwokata, robi wszystko możliwe, aby zmusić uwodziciela do rozwodu i ożenienia się z Margot, co nie przychodzi z trudnością, gdyż młoda dziewczyna jest piękna i bogata. Lecz zjawia się niespodziana trudność: dziewczyna kocha adwokata Ebelinga, nawzajem przez niego kochana. Lecz Margot to Thea z „Łodzi kwiatowej,“ samowolna, namiętna, pozornie zepsuta, w gruncie dobra i czysta. Po wzajemnych wyznaniach, oświadcza Ebelingowi, że wyjdzie za tamtego, a on będzie jej kochankiem. Ebeling oburzony odtrąca ją, ale gdy się dowiadyje, że to ona od lat trzech codziennie rano stawia mu róże, otwiera na nowo ramiona; ale tu znów Margot-Thea sprawia mu niespodziankę: nie wyjdzie za nikogo; rzuci dom zepsuty i będzie pracowała, a gdy te, znane z piękności ręce, staną się szorstkie od pracy, wówczas je do niego wyciągnie i miłość jego przyjmie.

„Daleka księżniczka“ wysłana jest w góry, incognito, z jedną tylko towarzyszką, aby przed ślubem z udziałnym księciem pozbyła się anemii i nabrała pięknej, zdrowej cery. Księżniczka z rozkoszą oddaje się swobodzie. W zajeździe spotyka młodego studenta, poetę, z którym zawiązuje znajomość i który jej opowiada, że marzy o młodej księżniczce, że nie widział jej nigdy, ale jedynym pragnieniem jego życia jest, by kiedykolwiek główkę ku niemu pochyliła, wierszy jego, na jej cześć pisanych wysłuchała, i dała mu różową różę, od stanika odpiętą. Księżniczka musi odejść, wołają ją; jest bardzo wzruszona, ale poeta-filozof musi się dowiedzieć, że to ona, musi dostać swoją różę, ale przy staniku jej niema; ma przy kapeluszu... sztuczną. Tę mu ofiaruje. Ale student nie chce, ponieważ sądzi, że księżniczka jest zdania, iż tylko nieprawdziwa żyć będzie. Obrazek jest pełen wdzięku i prostoty.

* Paryżki „Théâtre français“ rozpoczął sezon najnowszą sztuką znanej spółki poetów bulwarowych, pp. de Flers i Caillavet, p. t.: „L'amour veille.“ Spółka zrobiła bywalcom teatralnym niespodziankę; nowa sztuka przypomina motyw z „Francillon,“ napisana jest jednak z wielkim wdziękiem i poezją. Młoda

Jacquelina zakochana w swym mężu jest o-
szukiwana przez niego; przez zemstę poprzy-
sięgła sobie odpłacić mu. Młody uczonec, przy-
jaciół, kocha Jacquelinę beznadziejnie; posta-
nawia ona użyć go za narzędzie zemsty; biegnie
do niego, do mieszkania, lecz wychodzi ró-
wnie czysta, jak przyszła. „Miłość czuwa“—
w ostatnim akcie sprawa się wyjaśnia i mał-
żonkowie się godzą. Obok głównych bohate-
rów, dali dowcipni autorowie całą galerię peł-
nych humoru postaci. Sztuka bardzo się po-
dobiała.

* Z Chrystyanii donoszą, iż znaleziono świe-
żo ciekawe manuskrypty w papierach Ibsena:
poezye, wiersze okolicznościowe, artykuły i
trzecią nieznaną wersję „Branda“, szkic do
„Nory“ z tendencją feministyczną. Doktor
Rank nie jest w nim znużonym życiem hula-
ką, ale obrońcą praw kobiety. Nadto „Świę-
to w Solhange“, jako libretto do opery.
Fragment „Branda“ ukazać się ma w druku
w przyszłym miesiącu.

m. l.



Z Towarzystwa Wychowania Przedszkolnego.



W dniu 18-ym b. m., o godzinie 8-iej wie-
czorem, w sali Uranii odbyło się zebranie
Towarzystwa Wychowania przedszkolnego; po-
rządek dzienny obejmował: sprawozdanie z dzia-
łu pedagogicznego wystawy Lwowskiej, przez
pannę Szycównę, sprawozdanie z działalności
Towarzystwa i sprawozdanie z Wiedeńskiej
wystawy wychowawczej, przez p. Maryę We-
ryho-Radziwiłłowiczową.

Nadzwyczaj barwnie i zajmująco, w spo-
sób szczegółowy i treściwy, opisała panna
Aniela Szycówna sekcję wychowawczą wy-
stawy Lwowskiej — główny wystawca Rada
szkolna miasta Lwowa, przedstawiła typ ideal-
nych budynków szkolnych, wyniki badania
światła i powietrza w klasach i t. p. Z in-
nych wystawców odznaczyli się znany już
profesor Błażek, wynalazca przyrządu do
mierzenia zmęczenia umysłowego uczniów,
Majewski — modele do umysłowania mate-
matyki, algebry, oraz wielu innych przedmiotów.

Opowiadała potem prelegentka, co w Gali-
cyi zdziałano dla dzieci niezamożnych po za
szkołą. Istnieje więc Towarzystwo „Pomoc
Naukowa“, wydająca dzieciom obiady i śnia-
dania, obuwia i odzieży dostarcza im gmina,
szkoła zaś dba o urządzenie kąpieli;—istnieje
dalej Towarzystwo gier ruchomych i Związek
rodzicielski—ten ostatni zajmuje się dziećmi,
które w domu własnym nie mają kącika do
nauki, nawet stolika do pisania, (statystyka
wykazuje 19% takich uczniów), tym Związek
daje w godzinach poobiednich lokal do nau-
ki i robót, oraz podwieczorok; Związek ten
urządza też podczas lata zbiorowe spacery
za miasto dla tych, co wyjechać nie mogą.

Reasumując wyniki pracy pedagogicznej
i wychowawczej, stwierdziła panna Szycówna,
że dąży on przede wszystkim do poprawy
warunków i do uspołecznienia pedagogiki
tak, aby szkole przychodziły z pomocą spe-

cialne, nie szkolne. a jednak pedagogiczne
instytucje społeczne.

Następnie zabrała głos p. Wydźga zdając
sprawę z dotychczasowej działalności Towa-
rzystwa wychowania przedszkolnego. Zatwier-
dzone w Marcu 1907-ym roku Towarzystwo,
na pierwszym zebraniu inauguracyjnym wy-
brało Zarząd złożony z następujących osób:

Gawroński d-r, Gebethnerówna Marya, Je-
ziorańska Helena, Miklaszewska Janina, Si-
korska Julia, Śniegocka Cecylia, Świątkowski,
Weryho - Radziwiłłowiczowa Marya, Wydźga
Marya.

W pierwszych miesiącach działalności, urzą-
dziło Towarzystwo odczyty dla dzieci, dwa
płatne w sali techników; przemawiali pp.:
Jeziński, Heilpern, Chmielewski, Jankowski
i Janowski, na tematy z zakresu przyrodni-
czego i jeden bezpłatny odczyt p. Jankow-
skiego w Bagateli, po którym nadto 1,000
dzieci otrzymało paczki nasion i sadzonki.

P. Helena Jeziorańska w kilku serdecznych
słowach opisała zebraniem Szkołę ochraniarek
we Włochach, pod Warszawą, podnosząc miły
wygląd zakładu, estetykę w najprostszyc
sprzętach, doskonale warunki miejscowe i szcze-
rą, owocną pracę, tak uczennice, jak nauczy-
cielek. Potrzeba tylko funduszu na parę sty-
pendyów, aby ułatwić ukończenie zakładu
niezamożnym zupełnie dziewczętom; będzie to
staraniem Towarzystwa, na którego własność
szkoła przechodzi.

Następnie p. Marya Weryho-Radziwiłowi-
czowa zabrała głos, podając wrażenia z Wy-
stawy wychowawczej w Wiedniu. Wystawa
ta, nie była, zdaniem prelegentki, ani w po-
łowie tak zajmująca, poważną i bogatą, jak
Lwowska. Po za wielką reklamą, masa kios-
ków iluminowanych, restauracyi, mało znaj-
dowało się rzeczy istotnie zajmujących i no-
wych. Podniosła tylko pani Weryho wzory
urządzenia pokojów dziecinnych, śliczne małe
akwaria, dla każdego niemal dziecka przy-
stępne i bogaty dział rysunków dziecięcych.

Po tym referacie nastąpiła dyskusja zebranych,
nad podanym przez p. Radziwiłłowiczową
planem szeregu odczytów, które zamie-
rza urządzać Towarzystwo; jednym z pierw-
szych będzie odczyt d-ra Zygmunta Kram-
sztyka: „O przyrodzie w domu.“

Zebranie, pomimo tak niedawnej jeszcze
działalności Towarzystwa, było bardzo liczne
i ożywione.

N. J.



Polskie Stowarzyszenie Równoprawnienia.



W dniu 23-cim b. m. w lokalu Polskiego
Stowarzyszenia równouprawnienia kobiet, od-
było się pierwsze powakacyjne zebranie ogól-
ne. Po zagajeniu przez d-r Popławską wy-
brano na przewodniczącą d-r Melanię Born-
steinową, która powołała na asesorki panny
Kuszerównę i Hemplównę.

Pierwszym punktem porządku dziennego
było odczytanie przez d-rów Brunerową spra-
wozdania kasowego za czas od Maja do Paź-
dziernika r. b; następnie sekretarka Stowa-
rzenia podała plan prac projektowanych

przez Towarzystwo. W najbliższej przyszłości
odbędą się posiedzenia poświęcone działalno-
ści Towarzystwa na polu ekonomicznym i praw-
no-politycznym, w tej ostatniej dziedzinie pro-
wadzą się rokowania z sekcją polityczną Towa-
rzystwa prawniczego, co do wypracowania
projektu prawa o dzieciach nieślubnych, w celu
przedstawienia go Dumie. Następnie p. Ce-
cylia Walewska odczytała sprawozdanie o szko-
le Niedzielnej, popieranej przez Towarzystwo.
Zakład rozwija się bardzo szybko, dziewcząt
jest około 80-ciu, a wykłady obejmują: ary-
tmetykę, język polski i pogadanki z dziedziny
geografii, historii i przyrody. Wobec mini-
malnej opłaty požądanem byłoby, aby panie,
właścicielki pracowni uiszczają ją, mogły za-
te uczennice, które same ponieść tego, choć
tak drobnego wydatku (20 kop. miesięcznie),
nie mogą.

Następnym punktem programu było oma-
wianie stałych zebrań członkowskich, tak od-
czytowych jak dyskusyjnych, postanowiono
urządzać raz na miesiąc odczyty dla robotnic
cyklami: higienę, politykę, prawo i raz na
miesiąc pogadanki odczytowe dla członków,
na temat najaktualniejszych spraw z życia
bieżącego; w tej kwestyi wywiązała się oży-
wiona dyskusja pomiędzy zebranymi.

D-r Popławska zawiadomiła zgromadzo-
nych, iż w Listopadzie rozpocznie się szereg
odczytów: p. Krzywickiego „O kobiecie w prze-
szłości i teraźniejszości“, oraz p. Łypacewi-
cza „O prawie cywilnem i prawie małżeń-
skim.“

Zebranie było bardzo liczne. Zarząd po-
daje do wiadomości członków, iż codziennie,
od godziny 6-iej do 8-iej jest dyżur w lokalu
(Zgoda 4), dla informacyj o bieżących spra-
wach Stowarzyszenia.

N. J.



Ze Stowarzyszenia umysłowo pracujących Polek.



W dniu 27-ym zeszł. m., w „Stowarzyszeniu
umysłowo pracujących Polek“, wypowiedział
p. Wł. Kozłowski bardzo interesujący odczyt,
p. t. „Dzieje ludzkości, jako walka o ideały.“
Mówca w treściwych zarysach przedstawił po-
wstanie socjologii, jako nauki badającej pra-
wa rządzące zjawiskami społecznymi i scha-
rakteryzował poglądy socjologów współcze-
snych. Zaznaczyły się tu kierunki wręcz prze-
ciwne, zależne od punktu wyjścia, który da-
ny system przyjmuje. Prelegent wreszcie wy-
powiedział krytyczne uwagi o jednostronno-
ści tych poglądów, które uzależniają ideowy
pochód ludzkości od jednej tylko kategorii
zjawisk. Przyszłość powinna się dać przewi-
dzieć, ale trzeba umiejętnie wyprowadzić wnio-
ski z przeszłości. Otóż, zdaniem mówcy, wal-
ka o ideały, którą ludzkość nieprzerwanie to-
czy, prowadzi ją stale naprzód, bez względu
na to, czy te ideały kiedykolwiek w zupeł-
ności urzeczywistnią się dadzą.

Sama walka bowiem jest już czynnikiem
uszlachetniającym, podnosi moralny poziom
ludzkości i wyciska na niej piętno coraz wyż-
szej, duchowej kultury.

Był to już drugi w jesiennym sezonie od-
czyt z liczby tych, które „Stowarzyszenie pra-
cujących umysłowo“ dla swych członków urzą-
dza; pierwszy wygłosił d-r Nussbaum „O dziec-
ku“, a treść jego pomieszciliśmy już poprze-
dnie w obszernym referacie.

z. b.



Szkoła służących im. św. Kingi.

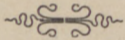


W tygodniu ubiegłym odbyło się w szkole służących św. Kingi rozdanie świadectw. Kilka-naście dziewcząt otrzymało świadectwa z dwu-letniego kursu i nagrody.

Serdecznie i pięknie przemówił do zebranych ks. proboszcz Kuczyński, zachęcając do spokojnej, racjonalnej pracy, dla dobra własnego i dobra społeczeństwa, na którego pomyslnie każdy, najskromniejszy pracownik wpływ mieć może. Szkoła liczy obecnie 42 uczennice, dziewcząt wyrwanych przeważnie nędzy i zepsuciu ulicy, to też z naciskiem zaznaczyć trzeba, iż obowiązkiem pań naszych, tak dużo nieraz rozprawiających o wadach służby, jest popierać te zakład, jako jedyną u nas szkołę narodową w tym zakresie, poprzez nie dla otrzymania natychmiast dobrej służącej (niektóre opiekunki chciały dostać służącą jeszcze przed ukończeniem roku szkolnego i dziwiły się, gdy im odmówiono), ale tak, jak się popiera wszelkie szkoły ludowe i rzemieślnicze. W bieżącym roku projektowane są, oprócz zajęć zawodowych i nauki czytania, pisania i rachunków, jeszcze pogadanki z historii, geografii i przyrody.

Szkoła wydaje również obiady, posiadając już ustaloną renomę; w tymże oddziale stołowania projektowane są różne nowe urządzenia, między innymi kuchnia uwzględniająca większą ilość i różnorodność potraw jarskich, a nawet, na żądanie, wydawać będzie jarskie obiady.

N J.



Kronika działalności kobiecej.



— Przytułek św. Zofii.

W dniu 9-ym b. m. przytułek dla ubogich dziewcząt pod wezwaniem św. Zofii, mieszczący się dotychczas przy ulicy Kruczej w domu pod n-rem 23-ym, przeniesiony został na plac św. Aleksandra pod n-r 13.

Przytułek daje schronienie, żywność i odzienię przeszło 50 iu dziewczętom, albo nie mającym wcale rodziców, lub też tylko matkę albo ojca, nie będących w możności utrzymać ich własnym kosztem.

— Związek rękodzielniczek.

W dniu 27-ym z. m. odbyło się ogólne, roczne zebranie Związku rękodzielniczek „Dźwignia“, istniejącego zaledwie od roku i posiadającego 400 uczestniczek.

Zebranie zagał ks. Bronikowski, poczem, po zaznajomieniu zgromadzonych z przebiegiem rozwoju instytucji w pierwszym roku istnienia, o czem pisaliśmy wczoraj — zabrał głos gość z Ukrainy, ks. Lenard i mówił o znaczeniu pracy organizacyjnej, zabezpieczającej byt narodowy.

Na porządku dziennym zebrania był szereg wniosków, zmierzających do rozszerzenia ram działalności instytucji, ponieważ jednak postanowienia w myśl uchwały w sprawach muszą zapadać większością głosów ogółu członków, a zebranie nie zgromadziło wymaganego przez ustawę kompletu, obrady nad wnioskami odłożono do następnego zebrania, które będzie zwołane za dwa tygodnie.

— Zarząd Związku akuszerek zawiadamia, iż w bież. tygodniu, w lokalu Związku rozpoczynają się wykłady popularne z dziedziny higieny ogólnej.

Udział swój przyrzekli profesorowie następujący: Dr Zygmunt Kramsztyk: „Hygiena oka i przyczyna chorób oczu u niemowląt;“ d-r Franciszek Neugebauer: „Przyczyny poronień i wpływy nowotworów na przebieg ciąży i porodu;“ d-r Koziński: „Bakteryologia i rozpoznanie raka;“ d-r Bełżyński: „Aseptyka“ i „Sprawy położowe;“ d-r Korybut-Daszkiewicz: „Pielęgnowanie zdrowego i chorego dziecka;“ d-r Władysław Janczewski: „Ratownictwo z uwzględnieniem krwotoków.“ Bliższych informacji zasięgnąć można w binrze Związku od gpdz. 4-iej do 6-iej wieczorem. (Szpitalna N-r 12).

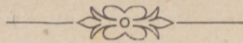
— Dziewczęta ze szkoły gospodarstwa wiejskiego.

We wtorek zeszłego tygodnia przybyło do Warszawy przeszło 30 dziewcząt ze szkoły gospodarstwa wiejskiego pod Kutnem, celem zwiedzenia miasta.

Wycieczkę tę odbyły pod opieką swych przewodniczek i zwracały ogólną uwagę ubiorami wiejskimi i czerwonymi chusteczkami na głowach.

Dziewczęta były bardzo zadowolone z tej wycieczki i ze zwiedzenia Warszawy.

Z. S.



Chwila bieżąca.



— „Dziennik wileński“ donosi o deportacji J. E. księdza biskupa wileńskiego, barona Roppa. Jest to wielka strata dla całej diecezji, wśród której pracował z pożytkiem i miłością bliźniego, jako dobry pasterz i patriota.

— W piśmie „Ruś“ Nestor, uważając za wielki błąd ze strony narodu rosyjskiego, iż ani razu w Dumie nie demonstrowano na korzyść Polaków, wzywa do protestu przeciw utworzeniu gubernii Chełmskiej, na postawienie wniosku o autonomii polskiej w trzeciej Dumie. Demonstracje takie Nestor uważa za konieczne dla obudzenia zaufania do społeczeństwa i narodu rosyjskiego.

— Dnia 20-go z. m. o godzinie 1-iej w południe policja wraz z wojskiem zamknęła bramy ogrodu Krasińskich. Przepuszczano tylko kobiety i dzieci. Wszystkich mężczyzn rewidowano, aresztowano około 60 osób.

— Dnia 20-go z. m. na stokach cytadeli wykonano dziewięć wyroków śmierci. Za napad na pocztę pod Włocławkiem, za napad na sklep monopolowy i urząd gminny w Nowej-Słupi, za napad bandycki na inkasenta firmy Kropiwnickiego. Wszystkich z wyroku sądu wojennego powieszono.

— W Radzie państwa rozpadła się partya centrum. Polacy połączyli się z grupą profesorsko-ziemiańską, ponieważ należy ona do lewicy.

— Komitet polski przedwyborczy w Petersburgu postanowił oddać głosy na: Rodiczewa, Kolubiakina i Miłukowa. Zebranie przedwyborcze polskie odbyło się w dniu 26-ym z. m.

— Mamy do zanotowania dwa wielkie pożary — Nowego Dworu i Zwolenia. W Nowym-Dworze spłonęło około 130 posesyi, mających ze 400 budynków, w ich liczbie synagoga i łaźnia. Bez dachu i chleba pozostało około 1,500 rodzin. Gwałtowność pożaru nie dozwoliła nieszczęśliwym ludziom ucatować swoich ruchomości. Na miejscu pożaru utworzył się komitet niesienia pomocy pogorzelaom. Ofiary przyjmują też redakcje pism warszawskich. Dużych też rozmiarów klęską był pożar Zwolenia, lecz oddalony znacznie od Warszawy, nie daje możności pośpieszenia tam z szybkim ratunkiem. Straty wynoszą milion rubli.

— Katastrofa kolejowa zdarzyła się pomiędzy Miechovem a Pasiekami, w porze nocnej. Z powodu złego sygnalizowania zderzyły się dwa pociągi, chociaż w ostatniej chwili maszyniści dali kontrparę. Starcie było tak silne, iż dwóch ludzi jest zabitych na miejscu, ośmiu ranionych. Prócz tego z żywego ładunku zabitych 10-iu wieprzów znaczna liczba drobiu.

— Z okazji zaślubin córki swej, Alicyi, pani Izabela Landauowa złożyła 55,000 rubli na cele następujące: rubli 25,000 na naukę rzemiosł dla dziewcząt opuszczających przytułek im. Landauów, 30,000 rubli na założenie instytutu pielegniarek chorych, nieistniejący dotychczas u żydów.

— Hojną ofiarę składają pozostałe dzieci po ś. p. Ludomirze Jastrzębowski. Złożyły one mianowicie rubli 800 na P. M. S., rubli 100 na zakład przy ulicy Lipowej. rubli 100 na kościół Zbawiciela przy ulicy Marszałkowskiej, rubli 100 na biuro nędzy wyjątkowej. Niezależnie od tych łsgatów, złożono w redakcyi „Gazety Radomskiej“ około 300 rubli na rozmaite cele społeczne.

— Dwudziesto-letnie córka lekarza rosyjskiego, Miropol-skiego, złożyła przysięgę adwokacką w pałacu sprawiedliwości, wobec licznego audytorium.

— Ważną sprawą Koła polskiego w Wiedniu jest zajęcie się Szlązkiem austriackim i wyjęcie go z pod władzy kościelnej biskupów wrocławskich, szczególnie teraz, kiedy na stolicy biskupiej zasiada ks. Kopp, będący zdecydowanym sojusznikiem rządu pruskiego, i dopomagający mu w gnębieniu polskich katolików.

— W austriackim kole polskim poruszono kwestyę barbarzyńskiego obchodzenia się w Prusach z robotnikami polskimi. Nie wolno im nocować pod strzechą, brać kawałka chleba z sobą, ekonomowie, policya, żandarmi biją ich pięściami i kijami i obchodzą się wprost z nimi nieludzko. Koło polskie uchwalilo interweniować u rządu austriackiego w sprawach poznańskich.

— Bilans pokojowy konferencyi w Hadze nie przyniósł żadnego pozytywnego rezultatu. [Jedno z najsilniejszych państw militarnych, jak Niemcy, odmówilo współdziałania. Mija już dwa wieki od czasu, jak ksiądz de Saint-Pierre wydał swoje słynne dzieło „O powszechnym pokoju“, a dotąd ideały jego pozostają w dziedzinie marzeń. Prezes konferencyi pokojowej, reprezentant Rosyi, hr. Nelidow, dostał podziękowanie od Najjaśniejszego Pana, za taktowne i pełne godności postępowanie na kongresie.

— W Paryżu komisya prawna parlamentu przyjęła wniosek o zniesienie kary śmierci.

— W dniu 30-ym z. m. zmarł w Grodzisku pod Warszawą, znany adwokat, Jan Maurycy Kamiński.



Od Administracyi.

Dla całorocznych prenumeratorów „Bluszczu“, którzy wnieśli rubli 2 za 20 tomów „Książnicy“, dołącza się tom 15-ty („Książnicy“ 18-ty), zawierający Wojciecha Szukiewicza „Odrodzenie Etyczne“ (z rozmyślań idealisty o rzeczach realnych).

Treść numeru:

Rozmyślenia w dzień Święta umarłych, przez Zofię Seidlerową. — W Zaduszki (wiersz), przez Rymwida. — Śmierć, przez Renę Ornicz. — Dom Opieki, przez T. Prażmowską. — 25-lecie Schronienia dla nauczycielek, przez E. Żmijewską. — Zapóźno, nowela, przez Darwida (dokończenie). — A kieda umrę... (wiersz), przez Wandę Krasuskę-Moryczową. — Z „Salonu“ Sztuk pięknych, przez Z. Skorobohatą-Stankiewiczównę. — Przegląd muzyczny, przez St. Diadulewicza. — Sztuka i literatura zagraniczna, przez m. l. — Z Towarzystwa Wychowania przedszkolnego, przez N. J. — Polskie Stowarzyszenie Ruwnouprawienia, przez N. J. — Zo Stowaryszenia umysłowo pracujących Polek, przez z. b. — Szkoła służących im. św. Kingi, przez N. J. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Chwila bieżąca. — Od Administracyi. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 1-szy nowej p t. „Żona pożyczona“, w przekładzie L. B.

Dodatek: Opis ubiorów i robót z rycinami.